

P. Alina Kopisto, 9 grudnia 1989 roku.

256

Urodziłam się 2 października 1917 roku w Kochsztowie (Korsztowie?) koło Przemyśla. Rodzice mieszkali we Lwowie, ale kuzynka, zakonnica w Kochsztowie zaprosiła moją matkę w ciąży i siostrę, która już była na świecie i zmarła potem mając 11 lat - na mleko itd., była wojna. Jako dziecko często chorowałam, uodporniłam się dopiero koło szesnastego roku życia. Chrzczona byłam we Lwowie w parafii N.M.P. Snieżnej jako córka Heleny z Korosiewiczów i Antoniego Żulińskiego. Dzieciństwo i młodość spędziłam we Lwowie, tam chodziłam do szkoły i do "Nazaretek", ale krótko. Dzieciństwo miałam szczęśliwe, ojciec pracował w fabryce Olkus (?) płyt klejonych jako zastępca dyrektora. Mieliśmy dobre warunki, mieszkanie słuźbowe, była pomoc, niania. Fabryka się spaliła, ojciec był dwa lata bez pracy, chesne u Nazaretanek wynosiło 50zł miesięcznie, tak że rodzice nie mogli już sobie pozwolić na posyłanie mnie tam. W spalonej potem fabryce naczelnym dyrektorem był inż. Geze (?), który potem zbudował sobie fabrykę pod Wiedniem i zaproponował ojcu (był z nim zaprzyjaźniony) objęcie tam posady. Chciał, żeby ojciec tam przyjechał, zapewniał mu mieszkanie, pracę itd. Ale mamusia powiedziała: „Nie, my zostaniemy Polakami, dzieci wśród tych Niemców się wynarodowia”.

Mamusia umarła jak miałam 17 lat. Ojciec po dwóch latach ożenił się z wdową, przeniósł się do Warszawy zabierając najmłodszą siostrę, która miała siedem lat jak mamusia umarła. Pozostałe rodzeństwo, siostrę o dwa lata ode mnie młodszą i brata z 1921 roku zostawił mi pod opieką. Przysyłał nam pieniądze, ale warunki już były trudniejsze, dom na moich barkach. Odkładałam ciągle, myśląc, że jak rodzeństwo skończy szkoły to uzupełnię swoje wykształcenie. Marzyłam o medycynie, ale to zostało marzeniem. Tylko w czasie okupacji niemieckiej chodziłam do dwuletniej (podziemnej) szkoły felczerskiej.

Wcześniej dzieje rodziny znałam od babci Julii, matki ojca, która zmarła mając 100 lat. Jej pogrzeb był 2 stycznia 1939 roku. Babcia do stu lat była sprawna umysłowo, nie chciała dożyć trzeciej wojny, przeżyła pierwszą i ukraińską. Ojciec ~~pochodził~~ był potomkiem Romana Żulińskiego, który został powieszony razem z Trauguttem. Pochodził z tej części rodziny, która była wywieziona na katorge na Sybir. Jego matka też była wywieziona i tam spotkała dziadka. Wielu braci Żulińskich było nauczycielami, bo jeden z nich przehubał majątek, żona wzięła resztki w swoje ręce i kształciła synów. Pamiętam jeszcze z rodziny stryjenkę Łucję, matkę Tadeusza Żulińskiego, który był jednym z adiutantów Józefa Piłsudskiego. Babcia Łucja do końca życia chodziła w żałobie, czarna aksamitka na szyi, brylantowa broszeczka. Mieszkała we Lwowie. Z portretów i opowiadań znałam jej męża, Józefa Żulińskiego. Jak byłam małą, przyjeżdżała do nas.

(UWAGA! Opowieść o rodzinnych koneksjach i wywózkach na Sybir jest obszerna, więcej niż połowa chyba taśmy 1, ale bardzo nieskładna, poplątana, urywana, nie daje się spisać chronologicznie itd. Powyższe jest nikłym streszczeniem, żeby dać ogólnikowy pogląd na "pochodzenie społeczne", rodzinę p. Kopisto.)

Wojna. Pamiętam, jak pierwszy raz był bombardowany Lwów, (...) było to 1 września przed 10 rano. Zeszłam do szewca dać buty do naprawy. Nic nie widać, ale słyszemy detonacje, myślimy - próbny alarm, nie ogłaszali go jednak wcześniej. (...) A to już bombardowali dworzec, Skwirów koło dworca. Słoneczny, piękny dzień. Około 10.30 już wozili rannych do szpitala (...). Nasza dzielnica nie ucierpiała. Przeżyłam to strasznie. A najwięcej przeżyłam, jak bolszewicy weszli. Siedziałam i łzami się zalewałam. Nie mogłam się pogodzić z tym, że ta hołota zajęła miasto. Czy bardziej się bałam Rosjan, czy Niemców? Niemcy - wiedziało się, że to wojna. Nie weszli do Lwowa, byli na rogatkach, nie miałam z nimi kontaktu.

A Rosja znienacka - to było gorsze, bo nóż w plecy. Jak było bombardowanie zgłosiłam się jako ochotniczka. Na Korkowej 31 był szpital Ubezpieczalni Społecznej zamieniony na szpital wojskowy i tam pracowałam.

Wejście Sowietów...ten smród zasmrodzony...Bo byli brudni, zasmrodzeni, szpice na czapkach z czerwoną gwiazdą. Mam doskonale zakodowany w pamięci taki moment: byłam na placu Mariackim. Nasz oficer wyższej rangi przechodził po stopniach pod pomnikiem Mickiewicza. Podszedł do niego Żyd z czerwoną opaską, z gwiazdą. Oficer jakoś się odchylił i ten żydłak w twarz go uderzył. Na to nadszedł na koniu oficer sowiecki (widział to), wyciągnął pistolet i tego Żyda trupem położył. To był widocznie oficer, który miał inne wychowanie (...). To widziałam na własne oczy. Armia składała się z Rosjan. Może i byli zrussyfikowani Ukraińcy, ale Ukraińcy właściwie stworzyli swoją armię za Niemców. Dużo Ukraińców było w wojsku polskim (na początku wojny).

W pierwszym okresie okupacji rosyjskiej my, kobiety, nic nie wiedziałyśmy o konspiracji. Może mężczyźni coś przeciw nim robili. W 44 roku to my, kobiety, pomoc niosłyśmy tym ludziom, żołnierzom rosyjskim gotowałyśmy jedzenie, karmiłyśmy ich, po szpitalach chodziłyśmy z paczkami, papierosami... Nie patrzyłyśmy na to, że to oni nas niszczyli. Przecież to lud, armia: każą iść, musi taki wypełnić rozkaz. Oni byli męczeni przez swoich, nie miałyśmy żadnej nienawiści do nich.

Ja mieszkałam na Korkowej 3 (...), nasza ulica kilkakrotnie z rąk do rąk przechodziła. Jak zaczęły się wywozy to nie spałam u siebie w domu, bo też by mnie wywieźli, na liście byłam. Wywozy zaczęły się od razu, styczeń 40 roku był najgorszy. W 39 roku zaczęły się aresztowania. Adama, najmłodszego brata mojego ojca, aresztowali, chodziłam do więzienia oddawać mu paczki. Siedział na Kazimierzowskiej. Wywieźli gdzieś stryja, dowiedziałam się o tym

dopiero jak drugi raz weszli. Podpalili więzienie na Kazimierzowskiej. W nocy przyszedł do mnie pan Stanisław Topornicki, był dyrektorem biura Hartwiga. Nie poznałam go: posiwiak. Młody człowiek w wieku czterdziestu kilku lat, którego nie można było poznać. ~~Waż~~ Uciekł. Oni najpierw wyprowadzali na rozstrzał, ale pomyśleli, że nie zdążą, więc zamurowali i podpalili więzienie. Część zaczęła uciekać z drugiej strony, część zabili w drodze (przy ucieczce?), część zranili - różnie to było. On uciekł bez szwanku i on właśnie opowiadał o tym wszystkim: co i gdzie robili, że rozstrzeliwali, maltretowali na śledztwach, męczyli moralnie. Nie z rozkoszy posiwiak. Jak Niemcy przyszli, wysadzali piwnice, poprzez piwnice dostawali się do tych ludzi, co byli na dole. Ludzie byli w szoku, do obłądu doprowadzeni, mieli poobgryzane palce. To nie jest wymysł, widziałam na własne oczy. Piwnicami się tam dostali, żeby ludziom, którzy jeszcze żyli w jakiś sposób pomóc. To był 41 rok.

Jeśli chodzi o konspirację antyniemiecką, to byłam łączniczką. Nosilałam różne rzeczy w różne miejsca. Nie mogę powiedzieć kto i co, bo różni to byli ludzie i różne pseudonimy. Ale zaprzysiężona byłam dopiero na jakieś 4 miesiące przed aresztowaniem. Przysięgę odemnie odbierał Marian Dub, nie pamiętam jego pseudonimu. Jego dziadek, Ukraińiec, ożenił się z Polką, on już był Polakiem, czuł się nim. (...) Byłam więc kolporterką. Roznosiłam "Słowo Powszechne" i "Wytrwamy", czasem jakieś biuletyny, ale te pisemka systematycznie. Część najpierw dostałam od pana Mariana, ale potem miałam kontakt z Oleńką Zielińską, ona przydzielała mi tę prasę. Jest w Krakowie, razem byłyśmy sądzone.

[Aresztowano mnie 30 grudnia 44 roku na ulicy Dominikańskiej o godzinie 4 po południu.] Rosjanie, regularna armia, weszli 26 lipca. Podfrontowe wojska były wcześniej, to ich właśnie karmiliśmy, bo byli odcięci od kotłów, od kuchni, zawszeni, zabrudzeni, zęglodzeni. Kiedyś widziałam z okna, jak szedł krasnoarmiejec i schylił

się, by wziąć do ~~xx~~ buzi okruchy chleba z chonika. To się serce krajało. W obozie wolałabym z głodu umrzeć, niż chodzić po śmietnikach. Są różne charaktery. (...)

Miałam pseudonim "Halina". W dniu aresztowania byłam umówiona na Dominikańskiej z pewnym panem, który się potem okazał konfidentem. Wyszłam z domu (...), ulica Dominikańska była obstawiona. Żołnierze z karabinami (...). Zauważyłam, że naprzeciw idzie ten pan z którym miałam spotkanie. Pomyślałam, żeby tylko nie podszedł, bo jakaś obława. Przeszedł na drugą stronę i wszedł do bramy. Wtedy podszedł do mnie kapitan NKWD Zujuw. Gdzieś z boku stał kamochód osobowy, prowadził mnie do tego samochodu. Widziałam jakichś ministrantów, jakiegoś ojca w ~~habicie~~ habicie białym, chyba na nieszpory się zbierało. Chciałam dać znak, coś powiedzieć, ale pomyślałam, że nie mogę nikogo narażać. Mózg szybko w takiej sytuacji pracuje. Do kapitana mówię, że to jakaś pomyłka. Były przypadki, że pod pozorem aresztowania zabierali za miasto i obrabiali. A ja ubrana w karakułowe futerko, czapeczka i mufka karakułowa. Mówię głośno po polsku, bo rosyjskiego nie znałam. Wsadzili mnie do samochodu na tylne siedzenie. Z jednej strony ten kapitan z odbezpieczonym pistoletem, z drugiej żołnierz z karabinem, na przednim siedzeniu też żołnierz koło kierowcy z karabinem skierowanym na mnie. Chcieli mnie chyba zastraszyć, bezbronną kobietę. Zawieźli mnie na Sygnówkę. Było to przedmieście, dzielnica domków rzemieślniczych. Oczywiście rewizja. Miałam trzydzieści parę sztuk tych gazetek. "Skąd dostałaś?". Nie miałam przy sobie żadnych dokumentów, wymyśliłam jakieś nazwisko i imię. Futro zdjęli, obmacali, do drugiego pokoju posłali. Tam była kobieta, kazała mi się do naga rozebrać, zrobiła rewizję od stóp do głów i z przysiadami. Oczywiście nic nie znaleźli oprócz tego, co miałam w torbie.

Wsadzili mnie do sutereny, chyba do jakiejś pralni, beton, nie

było gdzie usiąść, brudne wszystko. Byłam sama jedna. Potem dali tam jeszcze Oleńkę i jeszcze jedną po kilku dniach. Powiedzieli mi, że dadzą "dywan", wieczór przynoszą otomanę. Pytam, gdzie dywan (myślałam, że się owinę) - "wot dawan". Okazało się, że u nich dywan to kanapa, a kawior - dywan. Tego dnia byłam wzywana na krótko, bo wiem, że położyłam się w nocy spać, więc w nocy nie byłam męczona. Nie mogłam zasnąć, bo strasznie zimno, w kotle zarzuconym jakąś gliną nie palili. Nakrywałam się tym futerkiem, jakoś noc przemęczyłam. [Na drugi dzień dali mi do jedzenia ten oficerski przydział, taki jaki sami mieli, ale jeść nie chciałam - nie przechodziło mi to przez gardło. Żołnierze, którzy mnie pilnowali, pytali, dlaczego nie jem. Brali to ode mnie i słychać było, jak to chłeptali za drzwiami. Bo ich oficerowie mieli jedzenie, a oni byli wygłodzeni. Chyba na drugi dzień wzięli mnie na śledztwo, ale nie w tym domku, ulica była głośna. Przeprowadzili mnie nocą na Lewandówkę.] Była to dzielnica kolejowa, szło się koło jakichś chłangarów, były błonia, na uboczu jakieś domki, zacisze. Znowu koło drugiej w nocy (biły zegary gdzieś z daleka, słyszało się) kilka osób prowadziło jedną bezbronną kobietę.

[Śledztwo zaczął ten kapitan Zujuw. Wszystko oczywiście zmyślałam: kontakty miałam tam, gdzie kamienice były zburzone, zbombardowane (...). On spisywał, spisywał. Na drugi dzień po sprawdzeniu złościł się i przeklinał różnymi wyrazami po sowiecku.] Nie rozumiałam, dopiero jak powiedział " prostytutka" (międz-nar. słowo), to się oburzyłam i powiedziałam, że jak tak będzie postępował, to w ogóle nic nie powiem. No ale jak człowiek jest tak wychowany, to musi plugawych słów używać, nie ma na to rady. [W każdym razie nocami mnie męczył, a w dzień nie dał spać.] Przynosili mu jedzenie, jadł przy mnie, chciał mi dawać, ale się brzydziłam. (...) Byłam zdenerwowana. Po paru dniach może bym coś przełknęła, ale nie przechodziło mi przez gardło.

Potem jadłam jak mi przynosili coś ciepłego. [Pamiętam, że chyba na Sylwestra wyprowadził mnie na zewnątrz, kazał zdjąć nawet żakiet od garsonki (...) i w samej tylko bluzeczce z krótkimi rękawkami postawił mnie (pod ścianą) - żebym mówiła, bo jak nie, to będzie strzelać. Mówię: "Proszę bardzo, proszę strzelać" - było mi wszystko jedno. Nie powiedziałam nic. Wolałam zginąć, niż jakieś śledztwa... W ^o takim momencie zimną krew zachowałam, wolałam zginąć; bałam się, że jak mnie zaczną męczyć, mogę kogoś wydać. (...)]

Rodzina nic nie mogła wiedzieć. Ojciec, jak już mówiłam, przeniósł się do Warszawy. W maju przed Powstaniem byłam w Warszawie i wtedy ostatni raz spotkałam się z ojcem. Potem nie było żadnego kontaktu, bo Rosjan w Warszawie wtedy jeszcze nie było. Okazało się potem, że ojca i macochę zabiła bomba na Koszykowej (...) i nawet nie wiadomo, gdzie jest pochowany. Brat mój zginął gdzieś w obozie. Zdał maturę w 39 roku i miał iść na politechnikę, ale wybuchła wojna. Poszedł jako ochotnik, był ranny. Wybierał się na nartach na Węgry, gdy jeszcze rana dobrze się nie zagoiła, ale na granicy go złapali i oddali Niemcom. Dostał się do obozu. Mieliśmy od niego pierwszą i ostatnią kartkę, pisaną pod dyktando. Nie wolno było pisać. Że jest zdrow, żeby na ten adres nie pisać, bo ich przewożą do innego obozu. I ślad po nim zaginął. (...) Szukałam potem przez Czerwony Krzyż, ale nie było go ani wśród żywych, ani wśród martwych. Siostra wyjechała za granicę. Jedną, niestety wyszła za oficera rosyjskiego za męża (Lusia). On powiedział, że jego babcia była Polką, umiał po polsku mówić, ślub katolicki wzięli. W 41 roku on się ukrył, nie wiadomo, czy nie zmienił nazwiska, tak że odszukać ich nie mogę.

Z nikim więc nie mogłam nawiązać kontaktu (...).

[Śledztwo trwało do 28 marca, 28 marca byłam już zasądzona. Wyrok: 10 lat plus 5. Paragraf 54 1 A i 11 1 A - zdrada ojczyzny i przynależność do organizacji.] Był to kodeks ukraiński. Jeszcze

miałam paragraf sześć, ale w śledztwie odrzucono go. Było nas szadzonych 10 osób, my dwie kobiety i 8 panów. Jednego z nich (wcześniej aresztowanych?) nie było na sali, podejrzewano, że to konfident. Nie wiadomo czy tak było, nie dowiedzieliśmy się tego. Nazwiska trzech skazanych pamiętam dobrze: Tadeusz Dobrzański, adwokat, Wacław Rzepko i Aleksandra Zielińska (wtedy). I Stefania Nagler, która za brata (siedziała?) Najgorsze to, że Naglerowie rodzice nie wiem czy Staszek, ale siostra - byli przekonani, że ten kocioł to przeze mnie, że to ja sypnęłam. Potem, jak wyszła na wolność to chyba to sprostowała.

(UWAGA? Kilka zdań wyżej i fragment poniżej obraca się wokół rozmowy chyba wcześniejszej, nie utraconej na tej taśmie - ani żadnej innej - w sprawie wsypy i ew. konfidenta)

Stasia nie podejrzewałam, skąd! Potem się dowiedziałam, kto wydał, ona (?) mi powiedziała. Nazwisko tego człowieka - Jan, syn Jana, Górawski, Polak, mieszkał chyba na Leszczyńskiego. On przyszedł ze wszystkim, co mi odebrali na śledztwie w czasie rewizji i taką wersję podał, że uległam wypadkowi, wpadłam pod samochód, że ranną w kałuży krwi mnie zobaczył, wziął te rzeczy ode mnie a mnie zabrała gdzieś karetka. Nie zastanowiło ich to, że te gazetki i wszystko, nie były zakrwawione. Ona (?) mi powiedziała, kto wydał, była zdziwiona, jak mnie zobaczyła, że nie jestem ranna. Mam wrażenie, że tego Górawskiego wykończyło NKWD.

[Wracam do śledztwa. Zujuw mnie nie bił. Przez ok. 5-6 dób podawałam fałszywe wiadomości, sprawdzał, przychodził, przeklinał, złościł się, walił pięściami (w stół). Męczył mnie tylko tym, że mi spać nie dawał (...). On się kładł, a mnie pilnowano, nawet na siedząco nie pozwalano spać. (...) Raz był taki dobry dyżurny (pilnował mnie), który mi pozwolił zasnąć na stołku (...), powiedział, że jak kapitan będzie wracał, to on mnie zbudzi. (...) Nie miałam rozeznania w czasie, specjalnie chyba na śledztwie nie wieszano zegara.

Ten kapitan wsadził mnie do komórki, gdzie kapąła woda, szczury latały, ale ja wolałam to, niż z nim śledztwo.

Po pewnym czasie naczelnik "rozwiędki" NGB widzi, że Zujuw śledztwo prowadzi i nic z tego nie ma - wziął mnie w swoje obroty. (...) Z aczał mnie męczyć, w końcu dał mnie do takiego miejsca, ~~gdzie~~ gdzie woda kapąła mi, o, tu, na głowę (...). Nie pomogło i to, więc zbił mnie strasznie, do nieprzytomności. Pamiętam tylko, że mnie uderzył raz, drugi - potem upadłam. Co się potem działo, jak mnie kopał - nie wiem. Ocknęłam się na krześle i ten kapitan Zujuw niósł ku mnie jakiś ręcznik-kompres. Jak go zobaczyłam, ruchem obronnym wyciągnęłam ręce, niby go odpychając i znowu zemdlałam. (...) Tak mnie zbił, że zapaść musiała być głęboka, bo jak się ocknęłam, miałam blizny po zastrzykach, m. in. w okolicach serca, musiał lekarz dać adrenalinę. Nie wolno było tak mordować w śledztwie, lekarze w każdym razie nie pozwalali. Jak otworzyłam oczy, siedziała jakaś pielęgniarka sowiecka, byłam osłabiona, stać nie mogłam. Jakiś czas pałąką się podpierałam. Miałam już innych śledczych. Wtedy zaplanowałam, że popełnię samobójstwo, że się powieszę w klozecie. Bo zarzucali mi szpiegostwo i posiadanie broni. Na Korkowej była broń w piwnicy, ale nie wiedzieli o tej broni, nie mieli podstaw do paragrafu szóstego. Jak się w śledztwie zorientowałam, że nie wiedzą o broni i odrzucili paragraf 6, zarzuciłam myśl o samobójstwie.]

Po tym zbitiu dali mnie znowu do piwnicy i pilnowali. Pamiętam, kiedyś taki pocziwina (było bardzo zimno) nakrył mnie swoim szynalem. Jakiś ludzki (...). Ponieważ budynek nie był więzieniem, karmili nas tym oficerskim jedzeniem. Temu pocziwcowi czasem dawałam trochę jedzenia, chleba. Razem z Oleńką uprosiłyśmy ręcznik, jeden nam przyniósł od chaziajki, bo myśmy żadnych przyborów nie miały. Ją wzięli z teatru, a mnie z ulicy. Poprosiłyśmy, żeby nam nożyczki przyniósł, bo chciałyśmy sobie obciąć włosy (wszy).

Przyszedł do mnie jakiś oficer polski na ich polecenie, jakiś porucznik, który namawiał mnie, żebym się przyznała, że przecież taka organizacja była, była niepotrzebnie i dlatego my tak wrogo (jesteśmy nastawieni) do Związku Radzieckiego, oni są naszymi przyjaciółmi itd. Ja na to: "Proszę pana, wstyd mi, że pan jest Polakiem polskim oficerem i w ten sposób prowadzi rozmowę ze mną". - "Ale ja pani chcę pomóc". - "Jak mi pan chce pomóc, to wiem, że mająjechać na rewizję do mnie do domu (już im podałam swój adres, bo wiedziałam, że tam już wszystko usunięto. Byłam umówiona z panem von Jegermanem, wszyscyśmy byli umówieni, że w razie jakiegoś aresztowania ukryje wszystko. Był wtajemniczony. Jak wybuchła wojna miał 60 lat, jako oficer rez. sam się zgłosił, bo ich nie brali na front, a potem, żeby go nie wywieźli, zaczął pracować jako stróż u pijarów w szpitalu. Jak przyszli Niemcy, zaczął pracować w biurze u Niemców, namawiali go żeby przystał do Niemców (nazwisko von Jegermann!), że oddadzą mu majątek nad Dniestrem. Odpowiedział że jest Polakiem, ma serce i duszę polską, nazwisko nie ma znaczenia. (...). Był wtajemniczony) - Jak mi pan chce pomóc (mówię do tego oficera polskiego), to proszę, żeby mnie wzięli ze sobą, jak będą tę rewizję robić. Bo mnie aresztowano w jednej parze bielizny chciałabym sobie jakieś rzeczy wziąć." I on mi to załatwił. Wzięłam całą walizkę rzeczy z domu: bieliznę, kołdrę watowaną (kiedyś służyła służącej, ale puchowa się nie dawała do wzięcia), zmianę pościeli, nocną bieliznę, nóż, widelec, łyżkę, łyżeczkę. (aaa) Jak weszłam do mieszkania, z drugiego piętra zobaczyłam przyjaciółkę, Terenię Rymkównę, powiedziałam "trzymam się", podeszłam do cioci (mieszkała ze mną ciocia, daleka kuzynka matki, którą wzięłam do siebie, bo była chora), która była zdziwiona, że nie jestem ranna, bo szukali mnie przecież po szpitalach i nie znaleźli, powiedziałam też "trzymam się". Długo rozmawiać nie pozwolili i zaczęli rewizję. I w bibliotece znaleźli to, czego od dawna po-

szukiwałam: stryjenka Łucja przed śmiercią dała mojemu ojcu wszystkie wycinki z gazet o swoim synu, Tadeuszu, który był adiutantem Marszałka, o tym, jak zginął. On chodził do szkoły razem z moim ojcem (...). Znaleźli to! Jeden mówi: "Ty burżujka, тебе давно треба było rozstrielat!"

Potem już śledztwa były sporadyczne, raz brali Oleńkę, raz mnie. Szeptaliśmy, nie wtajemniczając trzeciej, Stefy, żeby jej nie narażać. Po tym wszystkim przenieśli nas do innego domu, bo już przez kogoś gryps rzuciłyśmy, nawiązały kontakty, wiadano, gdzie siedzimy, dostałam nawet pierogi, a w pierogach ^(otwówek) grafik chemiczny! Zorientowali się i przerzucili nas do większego budynku. Tam spotkałyśmy naszych panów, też tam siedzieli, w innych celach. Widziałyśmy ich, jak rąbią drzewo. Widziałam tam Wacława Rzepkę. Znow się zaczęły "peredacze", paczki żywnościowe, gorące jedzenie.

[Raz w nocy przychodzą: "zabierajsia s wieszczami" - jeden miał łopatę. My mówimy, że pewnie na łozstrzał, piszemy pożegnalne grypsy, ubieramy jak najwięcej rzeczy na siebie, żeby, jak nas przestrzelą, żadna Rosjanka nie ubierała naszych rzeczy. Świstki pożegnalne napisane - miałam kolorową apaszkę, w nią je zawiązałam. Wieźli nas ciężarowym samochodem nakrytym plandeką. Były tam szpary. Gdzieś w okolicy dworca głównego wysunęłam tę chusteczkę spod plandeki. Potem zorientowałyśmy się, że nas zawieźli na Łackiego; tam nas nie przyjęli, u Brygidek na Kazimierzowskiej też nas nie przyjęli. Zawieźli nas na Krasińskiego do willi hr. Putkasińskiego (?). W tej willi kiedyś była biblioteka polska, oni polską spalili zrobili swoją, propagandową. Jak weszli Niemcy, to tę z kolei spalili, a jak Rosjanie wrócili, to zrobili tam już nie bibliotekę, lecz więzienie.

Trzymali nas w piwnicach. W celi kobiecej był kran z wodą. Przeprowadzili rewizję, zabrali widelec i kubek itd, tylko łyżkę zostawili. Wszystko to było, zanim odbył się sąd. } (...) w celi

działam, że go nie znam - nie znałam jego nazwiska - on też mnie nie zdradził.

Sądzili nas w Wielką Środę. Parę godzin byliśmy z panami i wtedy sobie porozmawialiśmy o wszystkim, m. in. o konfrontacji. Ten pan powiedział: "Szczęście, że panią pierwszą zapytali, bo mnie mówili, że pani mnie oskarża, bili strasznie - myślałem - dlaczego mam pani bronić".

Na sądzie było kilka osób, nie pamiętam dokładnie, dwóch pułkowników, jakiś major, jedna Żydówka, która stenografowała, koło drzwi kilku bojców, co nas pilnowali. Trwało to chyba cały dzień: wyczytali obciążenia, pytają, czy się przyznajemy do winy, my mówimy, że nie, że "ojczyzny swojej nie zdradziliśmy, dlatego wy nas sądzicie.(...) Myśmy się Polski nie wyrzekli, a Rosja nie była naszą ojczyzną i do niej się nie przyznajemy". "No, podpisujcie wyroki". Myśmy nie podpisywali, nikt nie podpisał. "Wszystko równo, i tak będziecie siedzieć". "Dobrze, ale naszych podpisów tu mieć nie będziecie." A ponieważ żeńska cela dla osadzonych była przepełniona, (sądzili nas w wieżowcu kolejowym) gdzie w podziemiach porobili cele) - zaprowadzili nas na korytarz wszystkich razem. Wtedy doszło do rozmowy z panami. Było także "ostatnie słowo" po wyroku. Myśmy mówili tak: "Ponieważ się do winy nie przyznajemy, jesteśmy niewinni mamy nadzieję, że za jakiś czas to się wyjaśni, to chciałabym być razem z Oleńką". A oni, że to nie od nich zależy (byliśmy razem, ale nie w obozie, ona później wyjechała). W każdym razie żaden nie prosił o łaskę, nie każał się. Lubili to.

Myśmy z Oleńką zorientowały się, że to parter, ludzie chodzą ulicą. Poszłyśmy z tego korytarza do klozetu w środę, w czwartek już rzuciłyśmy gryps. Ja do cioci na Korkową, a ona do rodziców na Sycylijską. Wiedziałam, że ciocia chora, nie przyjdzie, ale w jednym pokoju mieszkała u nas pewna pani Maria. Czekałam. Do Oleńki już koło dwunastej przyszła mamusia (...), po czwartej przyszedł ojciec. Do mnie nikt. Niepokoiłam się, bo wcześniej miałam sen, że przed moim

domem stoi karawan. Dałam drugą wiadomość przez sprzątaczkę do pań Paprockich, które mieszkały na św. Antoniego 11a, przyjaźniłam się z nimi (...). Okazało się, że ciocia umarła, mieszkanie na Korkowej zajęło NKWD. W Wielki Piątek wyciągałyśmy przez okno na sznurku (wysoki parter) całą "wielkanoc" od rodziny: paczki z jajami itd. Oni nie wiedzieli o tym, nie zorientowali się. Było dużo osób, przydzielali do tych zasadzonych również banderolców na kilka godzin. Ponieważ nagle miałyśmy dobrą łączność (ze światem), napisałyśmy z Oleńką obszerny list, w którym podałyśmy adres tego konfidenta, który nas zdradził, żeby podano AK wiadomość, dla bezpieczeństwa. Tymczasem NKWD się zorientowało, że już mamy kontakty na parterze. Nagle ktoś mnie wzywa na śledztwo. List napisany mam w kieszeni, pali mnie. Chyba nigdy w życiu tak gorąco się nie modliłam jak wtedy do św. Judy Tadeusza. Sekretarz ~~xxx~~ śledczego (w j. esperanto) mówił, żeby nam rewizję zrobić, a ten nic. Kłamałam, gadałam - rewizji nie było. Dlatego wierzę w pomoc modlitwy. Jak tylko nas wypuścił, ja do klozetu, list podarłam na drobne kawałeczki i wodę spuściłam (...). Jak dajemy adres konfidenta, tzn. rodziny należą do AK - aresztowaliby ich z miejsca.

Po tym wszystkim przenieśli nas na punkt wysyłkowy, tam, gdzie za Niemców było getto żydowskie. Robotnicze domki wybudowane przez państwo. Na punkcie przesylnym byłam do kwietnia, na Sądowej w wiczowcu chyba niecały tydzień. Na punkcie przeszliśmy jeszcze raz rewizję i tę "sanobrobotkę" pierwszy raz. Nago. To był dramat dla mnie, myślałam, że sobie o mur głowę roztrzaskam, ale tych bojów tak dużo stało, że walnęłam głową w jakiegoś żołdaka, który nas pilnował. Szok. Szok straszny. Poszłyśmy. Ale to byli nasi, więźniowie, byli bardzo delikatni. Polacy, delikatnie się z nami obeszli.

Stefy nie było z nami ani na sądzie, ani po zasadzeniu, a potem na punkcie przesylnym dali ją do nas. Dlatego podejrzewam, że siła chcieli z niej zrobić konfidentkę, że brata wypuszczą (mieli go).

Może się zgodziła, bo po jakiego licha ją tam dali, jak jej nie sądzono? Wiedzieli, że my po zasądzeniu będziemy sobie otwarcie o wszystkim mówić i ona może im coś donieść. Może tak przypuszczali. Ale myśmy były ostrożne, jak ją tam zobaczyłyśmy, tym bardziej potwierdziło się nasze podejrzenie. Na tym punkcie poznałam miłą pół-Plkę, pół-Węgierkę, Jadwigę Wojciechowska, też na 10 lat zasądzoną. (...) Dowiedziałam się, że ciężko chory jest nasz kolega Tadeusz Dobrzański, że leży. Udało mi się tam przemycić, rozmawiałam z nim, wierzył, że wróci. Był jedynym opiekunem swoich starych rodziców, lecz, niestety, zmarł na przesyłce w dniu mojego wyjazdu, 21 kwietnia. Miał 30 lat, leżał w śledztwie na betonie, dostał galopującej gruźlicy (...) Miał szlachetne, ładne rysy, gorączkę ok. 40 stopni i tak mówił: "Proszę pani, ja z tego wyjdę, przecież jestem jedynym opiekunem rodziców staruszków."

Na tej przesyłce panie Paprockie przynosiły mi żywność i ciepłą odzież (...) na wywóz na Sybir. Ile godzin one stały! Jedna nie pracowała, to rano zajmowała kolejkę (bo tam było dużo narodu, każdy prawie miał kogoś), trzeba było cały dzień stać do oddania rzeczy najpierw, a potem się czekało na zwrot naczyń z jedzenia) Dostałam od nich i sucharów i cukru kostkowego, masło topione klarowane w pudełkach (nie wolno było w słojach), słoninę z cebulka, jakieś figi, orzechy, suche owoce. + oprócz tego żywność na świeżo. (...) Nie spotykałyśmy się z kryminalnymi. Były prostytutki-Rosjanki ale my trzymałyśmy się z sobą, w naszych celach kryminalnych nie było. Jak chodziłyśmy się myć, to przez ściankę rozmawiałyśmy z naszymi mężczyznami. I ja dostałam od nich krzyżyk ze srebrnej dziesiątki z Piłsudskim: na tle orła był wryty krzyż i szpilka wydrapane "Od siedmiu kolegów". Czyli jeden z tych ośmiu odpadł. Może nie mieli do niego zaufania. Ten krzyżyk w mydle dowiozłam do Magadanu. Jak tam pracowałam w wolnym szpitalu, pewien felczer-narkoman chciał, żebym mu to dała, raz chciał to jakoś zerwać, łańcuszek

urwał. Później nosiłam na nitce, widocznie się przetarka i zgubiłam ten krzyżyk, czego bardzo żałuję - taka pamiątka i tak ją ratowałam! Na przesyłce we Lwowie miałam jeszcze na tym łańcuszku srebrnym srebrny medalik: z jednej strony Częstochowska, z drugiej Nieustającej Pomocy. Ale Jadzia Wojciechowska tak mnie prosiła, że jej ten medalik dałam, a sobie zostawiłam krzyżyk.

[21 kwietnia zabrali nas z punktu przesylnego, 22 kwietnia załadowali (łyżkę i łyżeczkę zabrali, jak nas wsadzali do wagonu). Prowadzili nas z getta przez cały Lwów, Żółkiewska itd. My z workami bo walizek nie wolno było mieć - oni z jednej i drugiej strony z bagnetami i z psami.] Był dzień, szliśmy razem wszyscy: mężczyźni, kobiety, również te prostytutki. Widziało się (na Grodeckiej) znajomych, chcieli podchodzić, ale im nie dawano, odtrącano ich.

Z e mną w wagonie jechała Stefa Ryszkowa, Halina Pyszyńska, pani Halina i jeszcze jedna Polka, nazwisk nie pamiętam. Utrwaliła mi się Pyszyńska i Ryszkowa, bo z nimi później byłam na Kołymie, z tamtymi nie. Wagony bydlęce, przeładowane, prycze na górze i na dole, kładli po cztery osoby na dwuosobowe. (...) Ponad 40 osób w wagonie.

[Sam transport był koszmarny, bo wieźli nas w upały. Dawali słone śledzie, wody nie dawali. Najgorsze było opukiwanie pociągu po dachu młotkami drewnianymi - to się w mózgu czuło. Czasem w nocy czasem w dzień, zależy, kiedy był postój. Obowiązkowo raz, dwa razy dziennie (czasem w nocy) nas liczyli. Otwierali i wchodzili jak pociąg stał, wyrywali człowieka ze snu. Liczyli spędzając najpierw wszystkich na jedną stronę wagonu, a potem - po jednej osobie na drugą stronę. I każdy drewnianym młotkiem walił człowieka - musiał być uderzenie. Jeden był delikatniejszy, inny z pasją walił, tak że jak człowiek w kość dostał w łopatkę, to czuł długo.

Do załatwiania się rynienka. Najgorzej było tym, którym wypadło przy niej spać, bo każdy przechodził przez śpiących, budził - no i ten smród straszny! Była taka pałka do przybijania, bo rynienka

wąska, kał nie chciał schodzić, trzeba było go pała wybijać. To było potworne: lato, człowiek się dusił bez powietrza i jeszcze ten cały smród. Na początku miano jeszcze "pieredacze": cebule, czosnek czuło się smród dodatkowy. Wody mało dali, garnuszek. Człowiek nie wiedział, czy umyć się, czy wypić. Często-gęsto musiałam ukrywać swoją wodę, bo dzieliłam: połowę na szmatkę, żeby się trochę przetrzeć, umyć, połowę do picia. Musiałam robić to skrycie, bo jakby inne zobaczyły, to by mi wydarły, wcale by mi nie dały wody - bo się marnuje (...).] A jeszcze menstruacje. Jeszcze ja miałam szczęście, że mi się zatrzymała jak mnie aresztowali i 11 miesięcy nie miałam. A Dzikka to w ogóle nie miała, dopiero przed samym wyjściem na wolność, myśleliśmy, że straciła. (...]

9 maja już byłam w bydlęcym wagonie nad Wołgą. Zatrzęło się strzelanie. Dziwiliśmy się - co się dzieje? Nic nam nie chcieli powiedzieć. W końcu jeden mówi: "Pobieda, wojna koniec!", więc strasznie ucieszyliśmy się, że nas wrócą z drogi. A oni dalej powieźli.

Jeszcze w granicach państwa polskiego żegnaliśmy naszą ojczyznę. Ogromny żal, każdego dławiliły łzy, każdy mówił "muszę wrócić". Tego przeżycia nie da się opisać. (aaa) wywozu z ojczyzny do obcego państwa. (...) Wjechaliśmy na teren Rosji - nędza straszna. Wieźli nas nie przez miasta, tylko (bocznymi szlakami), tam się widziało całe dno nędzy. Domki drewnianymi pokryte, do komina przywiązana koza pasie się. (...) Ludzie strasznie biedni. Byliśmy zrozpaczeni: gdzie oni nas wiozą? Na takie dno nędzy i rozpaczy...

Ural przepiękny. Na szczycie wysoko é Stalin. (...) Ilu ludzi tam straciło życie, jak ten pomnik ciągnęli? (...) Było ładnie, bo wiosna, wszystko zieleniało, kwiaty, tulipany dziko rosły, tajgi zielone - jakiś inny oddech, człowiek odwracał głowę od własnej nędzy i kierował uwagę na piękno i krasę przyrody.

Jechaliśmy tak. [W Krasnojarsku nas do łaźni poprowadzili (...). Z pociągu jakoś tam doszłam, ale jak puszczono ciepłą wodę, zem-

dlałam szybko, upadłam. Mam wadę serca od urodzenia, zasłabłam. Bez powietrza się jechało, człowiek nie chodził, zmęczyłam się drogą do łaźni. A tam "sanobrobotka" (tu już kobiety goliły, tylko łaźnię prowadzili chłopcy, oczywiście musieli podglądać) (...). Najgorsze to zdzieranie z siebie odzieży, walka o swoje żelazne kółeczko, na których wieszano wszystko w prazarce. Potem rzucą byle jak, musi pani uważać na swoje, żeby nie ukradli, bo rzucają na kupę, cała ta chałastra z kolei rzuca się na rzeczy. Nie uważasz, to jakieś łachmany ci zostaną... Upadłam. Nie wiem, kto mnie umył. Do wagonu niosły mnie nie Polki, tylko Ukrainki, bo one były mocniejsze, dziewczyny ze wsi, przyzwyczajone do fizycznej pracy.] Konwój kazał, to mnie niosły na zmianę. Nie z życzliwości. Ukrainki bywały różne. Te banderowki to tylko "reżat polaków" i to wszystko. Ale po zasadzeniu i w obozie miny im trochę zrzedły (...). Co do mnie, to każdego uważałam za więźnia. Najbardziej dla nas życzliwe były Estonki.

(...) Wieźli nas okrętem uzbrojonym, trzymali jako złom pod pokładem w trumie, z którego nie wolno było wychodzić, tylko do ubikacji. Morze się oglądało tylko przez dziury w ubikacji, zielone fale. Przebicie stanąć nie było wolno. W Nachodce słyszeć było bomby - wojna japońska. 23 kwietnia wyruszyliśmy ze Lwowa, a w połowie czerwca dopiero byłam w Buchcie Nachodce. Zapamiętałam tę datę, bo moje imię niny są 16 czerwca i Jadzia Sokołowska przyniosła mi konwalie z życzeniami - w tych łachmanach... (...) Strasznie kocham kwiaty i tego omal życiem nie przypłaciłam, bo w drodze nas raz wyprowadzili na spacer z pociągu i schyliłam się po koniczynekę. Jak wystrzelił bojec, to tylko zaświstało. Nie kazał mi wyrzucić, powiesiłam sobie w wagonie, żeby pachniało, ale już nigdy na takie rzeczy się nie decydowałam. (...)

[W Nachodce w obozie przesylnym byłam od 14 czerwca do 28 lipca. Tam już było wszystko: kryminaliści, polityczni, wszyscy. Można

1. III

było być połamany, okradziony, zabitym...] (...) Spałam w nogach na górnych narach z Ukrainkami czy Litwinkami, w nocy któraś nogi wyprostowała, spadłam na te, co spały na dole. Potem już spałam na dolnych narach na siedząco. Potrzebowali ludzi do pracy do obozu męskiego, tam chorowali na biegunkę. Ponieważ miałam przygotowanie średniego personelu medycznego, chodziłam do tej pracy. Mogłam sobie wśród wolnych (tam) coś wymienić na żywność, byłam zadowolona. I tak za swoje zamszowe buty i płaszcz kąpielowy dostałam trochę chleba, smalcu (pamiętam, że Jadzia Sokołowska wklepywała go sobie pod oczy i na buzię, żeby "mieć ładną cerę"). Mimo że było gorąco do pracy szłam w futrze, bo tam była taka banda złodziei, że mogłam niczego nie zastać po powrocie. W czasie wieczornego liczenia złodziejki w paru miejscach pocięły mi futro żyłką na plecach (...). Raz wracałam z pracy, podeszły Ukrainki z naszej brygady i mówią (nie zwracałyśmy się do siebie per ty): "Proszę pani, myśmy podsłuchały, że mają dzisiaj na panią zamach zrobić. Nie poszłam do stołówki, tylko do obozu katorżniczych (za drutem na tym samym terenie) do szpitaliku. Tam jedna chora, która w ogóle nie wstawała pod siebie moje futro podłożyła, a ja po powrocie do baraku powiedziałam, że je sprzedalam, "bo mają mi ukraść, to wolę przejeść". Przyniosłam jakieś zakupy. Nie bardzo uwierzyły, bo któraś ze złodziejek najadła się mydła, żeby pójść do szpitaliku katorżanek i wniuchała, ale nie wyniuchała. Ta chora nic nie powiedziała. (...) Z futrem im się nie udało, ale kryminaliści spod głowy w Nachodce wyciągnęli mi worek i trochę rzeczy pokradli :nośną bieliznę itd. Kryminalistki to był najgorszy element, różnęły się, kradły, współżyły ze sobą (...) w takim łłumie różne sceny się działy na oczach, coś obrzydliwego! Kiedyś potem dawali jakieś przedstawienie dla ęhorych, widzę, w mojej nocnej koszuli haftowanej, jedwabnej jedna wolna występowała jako w sukni balowej. Odebrać nie mogłam, złodziejki to przemycały, sprzedawały (...). Trochę rzeczy mi się uratowało.

skłonna do gruźlicy. Przenieśli mnie na oddział wewnętrzny.

(Przyjechałam w 45 roku, a Nela i Dziidka rok po mnie. Tam poznałam Nelę, która już była po jakichś robotach i tam się z Nela zaprzyjaźniłam. Ona była silna, ale źle się czuła bez Polek, w towarzystwie rosyjskim. Rosyjski kaleczyła, nie chciała się uczyć - "chcecie, to nie rozumieście, co się będę tego parszywego rosyjskiego uczyć").

Na wewnętrznym lekarzem był Maks Dawydycz, chyba Żyd, nazwiska sobie nie przypominam. Wiedział, że jestem bardzo dobrym pracownikiem i jak się zwolnił (wyszedł na wolność), ściągnął mnie "za specjalnym zapotrzebowaniem" do wolnego szpitala, a ponieważ wiedział, że Nela mnie nie odstępowała, na nią też zrobił zapotrzebowanie. Mieszkałyśmy wtedy na terenie obozu na czwartym kilometrze. Zanim poszłyśmy do pracy w szpitalu, robiłyśmy najobrzydliwsze rzeczy z Nelą: naradczycyca wysłała nas do dziesięciolatki w Magadanie czyścić klozety. Myślę sobie, ładnieśmy wpadły. Tam pracowałam w szpitalu, miałam warunki inne... a tu obrzydliwe klozety, obsmarkane, oplute, po klozetach spotykali się obrzydliwie chłopcy z dziewczynkami. Nieraz się złapało kogoś. (...) Magadan to już była stolica, szkoły, pałac kulturę z figurami tych buców na dachu. Tyle że mogliśmy się zawsze wykąpać po tej robocie pod prysznicem, na jakąś zupę i chleb nas zapraszali, ale praca była obrzydliwa. Mówię do Neli: "Trzymaj się, nie załamuj, jesteście więźniarkami, musimy się ratować". Do pracy prowadzono nas pod konwojem, z tyłu kłuli w tyłek bagnetami. Pewnego razu jakoś się spóźniłam na wyprowadzenie do pracy, Nela czeka zrozpaczona, że nas wezmą do karceru, a tu przychodzi naradczycyca: "Kozak, Zulińskaja, gdzie wy się podziewacie wy macie do bolnicy chodzić do pracy!"

Zaczęłyśmy więc pracę w wolnym szpitalu, ja jako pielęgniarka, a Nela jako niania w oddziale zakaźnym dziecięcym. Pracowałam jako pielęgniarka i felczerka, zastrzyki robiłam i jeszcze musiałam przyuczać Rosjanki

siałam przyuczać Rosjanki do zawodu, bo na początku był brak średniego personelu medycznego, dawali dziewczyny z frontu, co to umiały głowę zawinać, ranę, ale nie znały się na niczym innym.

Jeszcze gdy byłam w szpitalu dla więźniów (przed skierowaniem do wolnego), mieszkaliśmy na terenie obozu i praca trwała 12 godzin. Raz w czasie purgi straciłam przytomność i leżałam w śniegu, ale widocznie niedługo: ktoś się na mnie natknął. Byłabym zamarzła na ~~y~~kość, to była moja pierwsza zima. Miałam twarz i palce podmrażane, na jednym mam bliznę do dzisiaj. Był taki okres, że po dyżurze w szpitalu brali nas na krycie dachu, rąbało się gwoździe z drutu - palce sobie odbiłam, kiedyś zleciałam z dachu (wtedy Olesiński napisał ten wiersz "Dwadzieścia dziewięć temu lat przemiły czorszczyk ujrzał świat, a gdy krzyżyków skończy trzy, pojedzie znowu straszyć lwy" (...?)) Wiersz mi zabrali, oczywiście. W szpitalu dla więźniów zawiązaliśmy kółko Polaków, Felka Giedroyć tam leżał ^{2/}chry, spotykaliśmy się. Kiedyś Jadzia Sokołowska chciała, żebym jej kupiła skarpety od złodziejasków, którzy tam przychodzili handlować, chciała sobie z wełny zrobić szalik czy czapkę. Więc poszłam w przerwie gdzieś za barak, żeby obejrzeć towar, przecież nie mógł mi na dachu ten złodziej skarpet pokazywać. Spotykam Felka w stołówce, ~~n~~kłania mi się, nie odzywa się, w końcu pytam, co się stało. Odpowiada, że nie rozmawia z takimi Polkami, które włóczą się po zakamarkach z kajdakami. "Ja włóczę się? Jak można mnie posądzać? Jak się ma wątpliwości, to trzeba spytać tak a tak! Pojechałby pan dalej i jaką by mi pan opinię robił? My tu, garstka nas, reprezentujemy wszystkie Polki i nie wolno psuć opinii!" Oczywiście Felek przeprosił itd (...)

Musiałam więc przyuczać Rosjanki, lekarstwa, nazwy po łacinie. Lekarz mówił, pielęgniarka notuje (...) Miałam salę naczelników i salę kobiecą. Z lekarzy był teraz wolny Maksym Dywidowicz, Lidia Nikołajewna i Galina Pietrowna, Estonka, która od dawna była w Rosji, bardzo miła, sympatyczna.

Miałam kłopot, bo gdy obeszłam swoje dwie sale z Maksym Dawidowiczem, tamte Rosjanki już na mnie czekały. Bo nie umiały zapisać nazw leków, musiałam je przyuczać, pisać po łacinie, żeby sobie na ruski przetłumaczyły, pilnować, żeby się nie pomyliły przy rozdziale leków, chodzić z nimi na wizyty - a oddział duży, wszystkich nie oblatam. Potem się nauczyły trochę, przynajmniej lekarstwa pomagały roznieść, gorączkę pomierzyły. Zastrzyki ja sama musiałam robić.

Pacjenci wolni nie wiedzieli, czy jestem Polką, czy jestem więźniarką. (...) Po przyjeździe pod konwojem do szpitala ubierałam się tak jak wolne. Miałyśmy białe kloszowe spódnice zawiązywane z tyłu, bluzki beżowe albo w pastelowych kolorach i pelerynki białe z czerwonym krzyżem. Te rzeczy przyszły z Ameryki (...) na bluzkach były metki amerykańskie.

Raz wchodzę na salę i słyszę, jak jeden pułkownik, oficer NWD opowiada o Polakach przeładowywanych na barkę jak te "ich czapki kwadratowe, te płaszcze rozdymały się na wodzie jak ptice" - stąd wiem, że oficerów polskich wziętych do niewoli, topiono. Mówili: "Ładowaliśmy i puszczaliśmy". W którym roku i gdzie, nie wiem. Dawniej Mogę powtórzyć to, co słyszałam, dat zmyślać nie będę, ale mowa była o oficerach wziętych do niewoli, wyraźnie, a w 44 roku nie brali już... Weszłam do sali, jak on to mówił, z sadyzmem i satysfakcją to mówił (...) może nawet topił tych ludzi. On miał zgorzel nogi, cierpiał bardzo. Nigdy bym mu trucizny nie dała, ale nie mogłam mu współczuć w jego cierpieniu. Po prostu lód mi się zrobił w sercu, myślałam, co za łotr.

(...) Potem przyszły nowe pielęgniarki, komsomółki po rocznym kursie i te już wiedziały, że jestem więźniarką. Miałam powierzone zdawanie antybiotyków i narkotyków. Ja to otrzymywałam z apteki, ja rozpisywałam (rozchód-przychód) i jak te wolne potrzebowały, to musiały się do mnie zwracać. I kiedyś jedna z nich: "Dlaczego nam się do niej zwracać?" Maks Dawidowicz był ordynatorem i

przed rozpoczęciem wizyt była u niego zawsze "pięciominutka" w gabinecie, nocna zmiana przekazywała nam obowiązki. I on powiedział tak: "Słyszę, że są pretensje, że "zakluczone" wam leki wydzielają. Tutaj u mnie na wydziale nie ma zakluczonych, jest średni med-pracownik. A komu ja mam powierzyć rozdzielanie narkotyków, to jest moja sprawa!" (...) Miał prawo, był wolnym człowiekiem, ordynatorem, to one nie miały nic do gadania (...) Tam brakowało lekarzy, musieli się z nim liczyć. Od tego czasu nie było szemraniny. A ten felczer, który zniszczył mi łańcuszek od krzyżyka, nie podawał narkotyków, sam je łykał, bełkotał czasem. Jakimś spirytusem popijał. Potem go gdzieś przenieśli.

Pracowałam tam dwa lata prawie na internie, Nela na oddziale zakaźnym dziecięcym jako niania. Jako niania pracowała tam też Zosia Słowikowa i pani Helena Bułka.

Pewnego razu był wybuch okrętu. Okręt z materiałami wybuchowymi potrzebnymi na pryiski zatonął i uszkodzone były inne okręty z ludźmi, które były w pobliżu. Leżała u nas doktór z okrętu "Mińsk", opowiadała mi o tym, zresztą widziałam tych rannych. Wtedy mnie 2 doby do obozu nie prowadzili w ogóle, dzień i noc znosili rannych marynarzy, trzeba było rozcinać nogawki - straszne to było. Nie pamiętam dokładnie, ale to był 47 albo 46 rok. Innym razem przypłynął okręt wolnych ludzi z rodzinami, dzieci na statku zachorowały na biegunkę, była kwarantanna. Z braku miejsc na oddziale dziecięcym, wydzielili dwie sale na oddziale dorosłych, a już wtedy był ten personel po rocznej szkole pielęgniarstwie. Jedną z nich przeznaczono do tych dzieci. Raz robiła zastrzyk małemu dziecku, mężczyźni, nie mogła trafić. Zawołała mnie, przyszedłam od razu (żyłoby trzeba wyczuć, zwłaszcza u takiego małego dziecka), jak tylko wzięłam igłę - trafiłam. Wtedy matki poleciały do ordynatora, żeby mnie tam przeznaczył. I miałam i swoje sale, i ich - no, ale dzieci trzeba ratować. Nie obsługiwałam ich, ale zastrzyki musiałam robić. (---) Nawet na chirurgię mnie czasem wołali zastrzyki robić

miałam wyczuć.

Przygotowywano etap. Przychodzę raz z pracy do obozu, a Nela już siedzi na samochodzie, krokodyle łyżę wylewa: "Ja już tam jadę, zginę, już się z wami nigdy nie zobaczę!" Jak ją taką zrozpaczoną widzę, leczę prosto do naradczycy i proszę, żeby mnie zapisali na etap. Myślę sobie, będę chociaż Neli pomagać. Okazało się, że kilka samochodów w nocy pojechało na ^{do Jagodnego} Jagodną, na ^{pełnoc} ~~południe~~ ~~XXXXXXXXXX~~ Wołymy (...), a nas, resztę, wywieziono na zachód (bo tam miejsc nie było). I tak nas rozdzielili, ale skąd człowiek mógł wiedzieć? Myślę, Neli nie pomogłam, a sama... widocznie los tak chciał.

Do Susumanu jechaliśmy długo, ponad 700km, po drodze odpoczywaliśmy, bo w nocy nie można było jechać; jechało się na krawędzi przepaści. Nie wiem, jak często mijaliśmy po drodze obozy; spotykało się i obozy i posesiadki robotnicze, nie zawsze te obozy leżały przy głównej drodze, nie zawsze się widziało wyszki między sopkami.

Tam właśnie, na jednym z noclegów ukradli mi moje futro i inne rzeczy. Złodzieje umówili się z ochroną naszego obozu, że wejdą i podziela się łupem. Napadli nas w nocy. Krzyki, piski... Waczelnik reżimu był jakiś ludzki, porządny człowiek, przyszedł do nas rano, powiedział, że wie o rabunku. Spytał, co komu zginęło i pozapisywał i moje futro wróciło - bez jednego przodu i bez rękawa... (...) Zostały plecy, przód jeden, rękaw i kołnierzyk. (...) Trzymałam je, resztki mojej fortuny, żeby mieć za co do kraju wrócić jak skończy wyrok. Miałam zapas waty (bo pracowałam w szpitalu) na wszelki wypadek, obłożyłam resztki futra ręcznikiem i watą i używałam jako jasiączka.

Naprzód wysłali nas na pryisk do Maldia, niedaleko Susumanu. Pracowałam tam zrazu jako felczer. Miałam tam kącik i jedną "salę" chorych, coś 7 łóżek. Przyjmowałam chorych jak wracali z pracy - opatrunki itd. Przydział wyżywienia miałam na liczbę łóżek, bez względu na to, ilu było chorych, zawsze nadwyżkę dawałam chorym starym. Nie było tam ani jednej Polki. Był to rodzaj ambulatorium.

Obóz był związany z wydobywaniem złota. Tam się wysadzają dynamitem
ziemię, trzeba było kopać głębokie na dwa metry dziury, stamtąd
wielonitowie wyciągali urówek. Szuter był głębiej, tam było lżej
dłubać. Były promybybory mechaniczne, ~~XXXXXXXXXX~~ wolni przy nich
pracowali (przerabiali). Jak coś zostawało, to trzeba było to na
amerykankach przelować, jeszcze tam jakieś ułamki złota były. (...)
Dwie osoby nosiły ziemię na noszach, ~~XXXXXXXXXX~~ ^{jedną} czerpakiem polewaka
a druga skrobakiem przecierała kamyczki, polewane wodą to opadało
na dno. Jak się skończyło pracę, to przy ostatnim stadium, etapie
przemywania i wydobywania czystego złota już wolni pracowali.
Pracowaliśmy w tym szpitaliku. Tam się zetknęłam ze strasznymi
ranami (opisuje to Oberyńska). Miałam jedną taką chora Rosjanke
całą w ranach i wrzodach (...). W tym strasznie zapoziakym ciele
trzeba było szukać miejsca, skąd można by wziąć krew z żyły i wst
wszczepiać w tyłek gdzieś. To była tzw autogometapia (...). Potem
ją gdzieś zabrali, młoda dziewczyna, z przestępczego, ale czwótek.
Pridurki i wszyscy, którzy mieli dostęp do żywności, do koka
-kradli. Ja zawsze przed wydawaniem posiłku musiałam wziąć próby,
stwierdzić, czy się nadaje. (Naczelnik?) miał kochankę, która prac
owała przy kuchni. Raz coś było nie w porządku, zwróciłam jej uwagę
ona mu się poskarżyła. Był obrzany. Nie mógł mnie zdjąć, bo nie
był lekarzem. Dopiero jak mu się czyrak zrobił - wezwał mnie. Do
tej pory nawet na ukkon nie odpowiadał, a myśmy musieli się kłaniać
w każdym wielonitowym. (...)

Potrzebowali na jedną zmianę kogoś do wolnego szpitala do Mal
daku. Skierował mnie, a tu, do ambulatorium dał jakiegoś Rosjanin
na, który zaraz sobie do "pomocy" wziął jakąś Besarabkę - już tam
pracowaliśmy krótko. Raz naczelnik szpitala poszedł w obchód po pod
ległych mu posłokach. Miałam dyżur, gdy właśnie przyjechała komi
sja z Moskwy. Oczymwielobite obchód. Ja tam zwolnienia wypisywałam wo
lnym

bo to był wólczy szpital. Jeden z komisji pyta: "Wy polaczka?" - ~~xxxxx~~ "Nie, Polka". Zrazu myślał, że jestem na umowę, sprostowałam. "Zakluonnaja? Kakaja statia?" Powiedziałam swój paragraf. Popatrzył tylko na naczelnika pryisku i reżimu. Wrócił lekarz, na drugi dzień go wzywają i zwymyślali go: jakim prawem więźniarka polityczna bez konwoja itd - naczelnik reżimu dostał 5 dni karceru, bo pozwolił lekarzowi. Lekarz do mnie: "Alina Antonowna, dlaczego nie powiedzieliście, że macie paragraf za przerwanie ciąży?" (bo po wojnie to było katane, ludzi potracili, chcieli, żeby się zwiększyła populacja). Tłumaczę, że nie znałam tego paragrafu. Komisja nalegała na szybkie odesłanie mnie do obozu, ale lekarz, że najpierw musi mieć kogoś, bo niechby jakiś wypadek... Byłam tam jeszcze z tydzień, potem wróciłam na swoje stanowisko do ambulatorium w obozie. Felczera, tego, co z Besarabką miał tam sielankę, odesłano do obozu męskiego. Wszystkie sprawozdania z naszego obozu (bo u nas była tylko komandirówka podległa) tam się dawało: ile zwolnień, ile chorych. I on z zemsty fałszował moje dane, dopisywał cyfry. Jak miałam np. ~~xxxxx~~ 2 osoby zwolnione z pracy - dopisywał 22. Chciał wrócić, chciał, żeby mnie z tej pracy wyrzucili za sabotaż. Bo skoro tyle zwalniam z pracy, to chcę, żeby jak najmniej ludzi pracowało! A na swoim stanowisku miałam prawo dawać zwolnienia.

f. IV

Za karę, za ten niby sabotaż (dowiedziałam się o tym później) wysłali mnie do ciężkich prac. Zrazu nie wiedziałam za co, więzień nie ma prawa pytać, a naczelnik nie ma obowiązku się tłumaczyć. Na pryisku ciężka praca, wydobywałam w pewnym okresie szuter, łomem kulałam zmarzlinę. Dobrze, że starzy więźniowie nowych uczą. Powiedzieli mi, że jak się kopie, a nawet mały kamyczek leci, to trzeba wyskakiwać z dołka, bo idzie lawina. Raz tak było: wyskoczyłam - za chwile zasypało wszystko (...). Gdybym nie wiedziała... ale świat pełen doświadczeń, nie tylko mnie - nas wszystkich uświadamiali ci starsi, których aresztowano w 37 roku, a potem im dawali dodatkowe wyroki.

Pomagałam jak mogłam. Mogłam dać np. tzw. OP (obogatitelnyj pajok) na 10 dni. Nie wyprowadzano wtedy tych ludzi do pracy, dawno kilo chleba i czerpak kaszy więcej ^{niź zwykle} jak normalnie. Zawsze wypatrywałam starych i chorych, wynędzniałych jakichś, młode zawsze jakoś sobie poradzą. Bo niektórzy dawali młodym, czerpali z tego zyski, dzielili się. Jednej Polce, Marysi, z zemsty za takie praktyki ucho obcięli: dawała jednym niesprawiedliwie, inni chcieli. A nie można się było poddać, nie można było ulec. Miałam taki wypadek potem, jak byłam na sianokosach, że jedna uziakła z muzykiem, całą noc jej ~~mi~~ nie było. Złapali ją i do karceru ciągną. Ona jęczy, że balnaja, ~~o~~ puścili ją do mnie do ambulatorium (...). Natarła sobie sola jedna pachę, wsadza termometr - 39 stopni. Badam puls - normalny. "Rozbie-
raj się do połowy!" - jeden termometr pod jedną pachę, drugi pod drugą (...). "Co ty myślisz? Duraka znalazłaś? Gdybyś potrzebowała czasem odpocząć, to przyjdź i normalnie powiedz, jak będę mogła, to cię zwolnię". To była Cyganka rosyjska, pomaszzerowała do karceru I szacunek był. Gdybym jej uległa, to by inne "szalaszowki" czło-
wieka zadziobały. (...)

No i właśnie takie kobiety, które ratowałam zwolnieniem, po-
znały mnie. One mnie jedną mogły zapamiętać, ale ja ich nie - poza-
wijane wszystkie baby. Oczywiście było mi bardzo miło, że mnie tak
serdecznie przywitały.

Byłam tam jakiś czas, wypoczęłam trochę, nawet mnie do pracy
nie wyprowadzali, potem mnie zabrali - bo słaba byłam - na sianoko-
sy do Chatanachu. 49 rok, lato. Na sianokosach miałam wiele przy-
gód. Nad rzeką Chatanach około 10 km obszar, kilka punktów tych
sianokosów, część odcinka nazywała się komandirowka. Zaprzyjaźniłam
się z żoną komendanta, to była pani z Moskwy, kulturalna, umiała ~~xx~~
myśleć. Ponieważ nie miała z kim rozmawiać (bo żony naczelników
reżima były przeważnie proste kobiety, które wierzyły w to, co radio
i gazety powiedziały), często mnie zapraszała jak już skończy-
łam

przyjęcie chorych w ambulatorium. zapraszała mnie do siebie, piłyśmy herbatkę, rozmawiałyśmy. Opowiadała mi, jak się dostała na Kołymę. Była jedynaczką, wyszła za kapitana, rodzice ją wyposażyli, urządzili. Ale wraz z mężem przerzucano ich w różne części kraju, zawsze tylko z rzeczami osobistymi i obietnicą, że na miejscu wszystko będzie. Nie bywało: kąt jakiś w lepiance, klepisko, stół z nieheblowanych desek, prycze itd. Urządzali się od nowa i tak w kółko. w końcu przestała się urządzać, bo co się dorobili, to przeniesienie. W końcu wojna, mąż wrócił kontuzjowany w głowę, zaraz potem przenieśli ich na Kołymę, jak bardzo wielu oficerów, którzy świat zobaczyli, bo bali się kontrrewolucji. Wysiedlali ich na Czukotkę, Kamczatkę, Kołymę. Mówiła: "Pani mogę szczerze powiedzieć, bo wiem, że pani nie wyda, a dziś bratu i siostrze ludzie u nas boją się mówić, bo nie wiadomo, czy nie pójdzie na NKWD i nie doniesie". (UWAGA powyższa opowieść jest streszczeniem)

Na sianokosach miałam obowiązek po tych wszystkich punktach chodzić, udzielać pomocy chorym. Miałam konia do dyspozycji, bo tam bezdroża. Raz koń był chory (...), obiecano mi innego, ale długo go nie było, a że miałam ciężko chorych na punkcie - wybrałam się na piechotę. Tam jakoś dobrnęłam, ale jak wracałam, zabłądziłam. Namawiano mnie w punkcie, żeby zostać na noc, ale i w obozie miałam chorych, którzy czekali (...). Szłam, zdawało mi się, że widzę dymy a to były opary moczarów. Sopki jedna do drugiej podobne, zdawało mi się, że dobrze idę, a ciągle błądziłam między sopkami. W końcu ciemności zapadają, z daleka widzę stogi siana, myślę! tam się zaruję, przeczekam do rana. Ale nie doszłam do tej kopicy, bagno prawie po kolana. Poszłam do lasu, a tam bardzo zimno (mimo upału w dzień, w nocy bywały i przymrozki) po zmierzchu, chciałam rozpalić ogień, ale ręce miałam tak skostniałe, że nie mogłam wytworzyć iskry. Bo jak się weźmie watę, glicerynę i kalihpermanganikum i trze się szybko, to iskrę można zapalić. Miałam to z laboratorium

(...) Naściagałam gałęzi z kosodrzewiny, chciałam się też gałęziami przykryć, ale zimno było strasznie (...) w końcu się położyłam, usnąć nie mogłam. Jak coś trzeszczało w kłęczkach, myślałam, niedźwiedź bo tam i niedźwiedzie grasowały. O wschodzie słońca zaczęłam iść w kierunku obozu, opaty mnie zwodziły. W południe trafiłam na rodzinę wolnych, która pracowała w lesie, tam mieszkali. I oni mi pomogli. Przy ognisku mnie ogrzali, wysuszyłam swoje mokre rzeczy, podzielili się, czym mogli. Trzeba powiedzieć, że dobre serca mieli na ogół ci Rosjanie, zwłaszcza Sybiracy. Nakarmili mnie nawet jakąś kiełbasą pieczoną na patyku, pokazali właściwą drogę.(...)

Na drodze naprzeciw mnie szedł już jakiś sierżant: "O, myśleliśmy, że jakieś nieszczęście" - doprowadził mnie do obozu, już było niedaleko. Ja się strasznie rozchorowałam, bo przeziębiam się w nocy. Leżę, lekarstwami się obkładałam, prawie 40 stopni - i chorvch tak przyjmuje. Pomoc niosłam, mimo że sama chorowałam. Jakoś się z tego wylizałam, zwłaszcza że naczelnika żona mnie odwiedzała, przynosiła ciągle coś gorącego, jakieś amerykańskie lekarstwa...

Drugi raz poszłam pieszo niedaleko, powiedzieli mi, że będę mogła wrócić koniem, który zwozi siano do kopicy. Okazało się, że to koń nie osiodłany - chuda szkapina, sterczące żebra i grzbiet. Nałożyli na grzbiet siano, wsadzili mnie, grzywy się trzymałam. Jedziemy, siano spode mnie wylazło, koń chudy, ja chuda - dojechałam do komandirowki, ale chodzić kilka dni nie mogłam, bo wewnętrzna strona ud miałam strasznie poobcieraną, poparzoną. (...)

[Cały czas pracowałam w ambulatorium, tam nie było lekarza, ja byłam felczerem. Musiałam meldunki o ilości zwolnionych z pracy słać do "Specczasti".] Miałam dobre wyżywienie, bo żona naczelnika była mi bardzo życzliwa i to ciasteczka, to na herbatkę - nieraz kończę pracę, a ona mnie pod rękę i prowadzi do siebie. Tam też była taka historia: któraś z "ukaźników" (chodziły bez konwoja) była na zwolnieniu, jak się zwolnienie skończyło, wyszła niby do B

pracy - do swojego kochanka, dwa dni jej nie było. W końcu ją znaleźli już po dziesiątej, był oboj. W karcerze dostała gorączki, ktoś ją do mnie przyprowadził (naczelnika nie było, tylko chyba jego zastępca). Dałam jej zwolnienie i poszła na nary spać. Naczelnik w nocy wrócił pijany (lubił sobie od czasu do czasu popić, jak to zwykłym) i zaczął szaleć. W baraku zaczął ją ciągnąć za włosy, targać. Przyszłam z termometrem, zmierzyłam temperaturę, do światła popatrzyłam. I ona już wtedy miała normalną temperaturę! Ale powiedziałam, że ma. On mi mówi, żebym ją puściła do karceru, bo jestem podporządkowana jemu. Po linii obozu, mówię, to wam, ale po linii medycyny, to doktorowi (był z wolnych z jednego posiołka), może nawet ministra zdrowia sprowadzić, ona jest chora. (...) Brałam to na siebie, a on jednak miał do mnie zaufanie, nie sprawdził termometru. A byłaby wpadła. Chodziłam do jego żony i herbatę popijałam, więc mu mogłam powiedzieć: "Andrzeju Iwanowiczu, jak wam nie wstyd, przecież wy się kompromitujecie przed więźniarkami! Jak wy wyglądacie, nie będziecie mieli szacunku i respektu przez to". A na drugi dzień on do mnie i do żony na herbatce: "Poddaję się, obie przeciw mnie jesteście!"

[Ale kryć kogoś było rzeczywiście niebezpiecznie (...). A często same sobie coś robiły, żeby nie pracować. Na przykład naftę sobie wstrzykiwały pod skórę, to potem ropiało. Strzykawki chyba kradły albo znajdowały jakieś wyrzucone jednorazówki. To dawało wysoką temperaturę i ropienie trudne do wygojenia i jakiś czas taka w szpitalu była. Dawały też mydło i wywoływały biegunkę, to wyglądało na czerwonkę, bo stolec z krwią. Kobiety na ogół nie obcinały sobie palców, ale np. zasypywały oczy chemicznym ołówkiem. Na jakiś czas traciły wzrok (bo ropiało), ale to było niebezpieczne, mogło to być okaleczenie dla przyszłości wzroku niebezpieczne. Ale najczęściej wstrzykiwały naftę, albo - jak ktoś nie miał strzykawki - rozcinał sobie czymś skórę i smarował naftą, wcierał, żeby był stan ropny.]

Trzeba było pomagać ludziom, ale i dbać, żeby oni nie mieli człowieka w ręku, poczucia, że się człowiek boi, że daje zwolnienie na każde zawołanie. Bo to się źle kończyło. Potem wymagali nagminnie. Ja, jak było potrzeba, to nawet jak człowiek nie był chory, ale b. osłabiony i słał się - to jak wieczór przyszedł do ambulatorium, pisałam, że ma gorączkę, że daję jakiś lek obniżający temperaturę (dawałam witaminę zwyczajną) i mówiłam: "Jesteś chora, masz temperaturę i masz leżeć, jutro rano przyjdę sprawdzić". Nie powiedziałam: "Daję ci zwolnienie, bo jesteś osłabiona", bo bałam się, że się pochwalili komu, trzevia osoba może usłyszeć, donieść. Nawet kryminalistki nie szantażowały mnie, bo nie miały powodu, ja się nie dawałam. (...).

[Kolejność moich pobytów:

W 45 roku 5 sierpnia przyjechałam na Kołymę. Statkiem "Orieł", zdaje się, na 100 procent nie wiem. Wieźli nas do miasta samochodami otwartymi, z jednej i drugiej strony skały kamienne, dołem wąwozu droga. My jak śledzie w beczce, nie bali się, że uciekniemy, bo nie było możliwości. Więc skały z jednej i drugiej strony i miałam takie wrażenie, jakby mnie żywcem do grobu wieźli. To niebo szare, stalowe góry kamienne (...). Od razu przywieźli mnie do szpitala magadańskiego dla więźniów, na jakiej ulicy, nie pamiętam, ale w dniu przyjazdu. Dali nam tam półtora kilograma chleba (...powt.), herbatę z mlekiem, ale byłam chora. Tam chorowałam około miesiąca, w krytycznym stanie zasłonili mnie białym parawanem, żeby inne chore nie widziały, jak umieram. (...) Ziemię polską z naramienników futra gdzieś rozsypali jak futro ukradli i spruli; może jakieś ziarno tam z ziemi lwowskiej wyrośnie. (...)

Potem byłam 23 km od Magadanu. Był tam olbrzymi szpital dla wszystkich więźniów, filia szpitala magadańskiego, mniejszego. Tam leżałam trochę, a potem pracowałam jako pielęgniarka około roku (do początku 47 roku). Gdzieś w połowie 47 roku

po "specjalnym zapotrzebowaniu" (na średnią służbę medyczną) przeniesiono mnie do pracy do wolnego szpitala w Magadanie.] Mieszkałam w baraku czwartym (UWAGA, czy nie chodzi o Czwarty kilometr?). Przyjechałyśmy tam z Nela Kozak, bo doktor wiedział, że trzymamy się razem. Nim tam przyjechałyśmy, czyściłam te klozety. [Tam byłam do końca 48 roku. Potem etapem do Susumanu. Tam, w Susumanie, byłam jakiś czas i tam ciężko chorowałam. Jak mi się trochę poprawiło, to mnie wysłali na pryisk do Maldiaku jako felczerkę (początek 49 roku). W Maldiaku pracowałam przy złocie, był tam też lesopowal. Wniej więcej w 49 roku znalazłam się z powrotem w Susumanie, bardzo ciężko chorowałam. Również w 49 roku byłam krótko w ^{Ust'Omczagu} Ustiumczyku na lesopowale. Stamtąd wzięli mnie z powrotem do Susumanu jako inwalidkę i jako inwalidka znalazłam się na sianokosach w Chatanachu. Wszystko to w 49 roku. Jak wróciłam z Chatanachu, było zapotrzebowanie na felczera do "Domu Młodzieńca" w Neksykanie. 6km od Neksykana był obóz-szpital dla rekonwalescentów. Odgradzili drutami część tego obozu i zrobili "dom młodzieńca". W tym domu były dzieci od urodzenia do trzech lat życia, tam młode kobiety rodziły. Pracowałam tam do 51 roku.] Byłam tam od listopada 50 roku, ściągali mnie (wcześniej) prędzej z Susumanu, ale dr Dimitrij Dimitrowicz Cukanow (o którym wspomniałam, że ożenił się z księżniczką Marią Fiodorowną, oboje bez sądu na Kozymie) był mi bardzo życzliwy, byłam z nim zaprzyjaźniona (wstrzymywał przeniesienie?). Pracował on w szpitalu w Neksykanie, był chirurgiem, miałam tam dyżury. Oboje byli mi b. życzliwi. Tam przez wartownię przechodziłam ile razy chciałam - to było najlepsze z wszystkich miejsc i moich obozów na Kozymie, miałam największą swobodę.

[Przy dzieciach robiłam wszystko. Dziewięcioro dzieci nawet przyjełam sama. Etat położnej był, ale to było świeżo otwarte, nim ja ściągnęli minął jakiś czas (ok 2 tyg.), sama musiałam przyjmować

porody. Miałam nawet jeden ciężki przypadek, poród pośladowy. Neksykan był malutkim miasteczkiem, szpital, gdzie pracował Cukanow oddalony o 6 km. Przy pomocy Marii Fiodorowny, jego żony, i jego (ściągnęłam go) dziecko się urodziło. Matka była młoda, świeżo areztowana, z "ukaźników" (skazana za spóźnienie do pracy), dobrze zbudowana, dziecko zdrowe.

W "Domu Młodzieńca" były dwie sale dla dzieci : jedna dla dużych (półtora, dwa latka), druga dla nowo narodzonych i kilkumiesięcznych. Matki, które miały pokarm, karmiły. Dochodziły do pracy 2 km do spółdzielni. Dla dzieci było amerykańskie mleko w proszku. Ja zamawiałam w aptece, wypisywałam receptę i oni mi tam przygotowywali porcje na każde karmienie osobno. Prawie zawsze matka mogła karmić 2 tygodnie, miesiąc, potem się dokarmiło.

Pół roku pracowałam bez pediatry. Miałam bardzo krytyczny moment, kiedy matki przywlokły do tych dzieci (...) jakąś ciężką grypę azjatycką, po której następowało zapalenie płuc. Siedmiomiesięczne maleństwo zachorowało. Wypisywałam roztwór Ringera (?) i pięcioprosentową glukozę, żeby dzieci pić, bo przy temperaturze występuje odwodnienie. U mnie nie było ani jednego wypadku zgonu, chociaż tam, gdzie byli pediatrzy, o 6 km. , w wolnym szpitalu, były. Dostałam tutaj właśnie pół roku zaczotów, komisja napisała do Moskwy o zdjęcie z wyroku. Miałam satysfakcję, że nie będąc pediatrą i mając takie ciężkie stany, w warunkach obozowych potrafiłam uratować dzieci. Dysponowałam penicyliną, ale u wolnych też była (...). Jak były takie ciężkie stany u dzieci, miałam prawo "zapotrzebować", żeby matki zostawały do pielęgnacji. Dawałam spis, Dymitr Dymitrowicz za twierdzał i zostawały bez żadnego kłopotu. Ja miałam wtedy osobny pokój, radio, zegar, budzik pożyczony od Cukanowej, bo co trzy godziny zastrzyki musiałam robić, wygotowywałam strzykawki i igły (...) obchodziłam ze czternaścioro ciężko chorych dzieci - a matka zwolniona, zamiast dziecka pilnować, pod piecem sobie śpi, zmęczona. By-

ły nocne nianie, bo matki chodziły do pracy. Dzieci miały dobrą opiekę. Była penicylina, lekarstwa, mleko w proszku, mąka, jajka - to był 50 rok, Ameryka wtedy pomagała. (...)

Potem dzieci zabierano na matierik do domów dziecka okrętami. Matki zostawały w obozach. Magdalena Rozwadowska urodziła ^{ix Elgenie} na ~~Ergenie~~ (?) córeczkę Danusię, cały czas utrzymywała kontakt z tym domem dziecka na matieriku, pisała tam. Była to córka ziemianina Rozwadowskiego zasądzona na 20 lat. W 39 roku ojca zabrano, zaginał (...). Magdalena wiedziała, że jak wróci za 20 lat, to dziecka nie urodzi. I zdecydowała się w obozie. Pracowała w kółku artystycznym, miała tam warunki, żeby poznać jakiegoś Polaka, który potem umarł i miała z nim tę Danusię. Utrzymywała z nią kontakt. Danusia była bardzo zdolna (...) Magdalena uczyła ją grać na fortepianie, miała ukończone konserwatorium (...). Starła się, żeby dziecko rozwijało się, miała jakieś możliwości kontaktu, nie wiem, przez kogo. Jak Stalin umarł (...) skorzystali ci, którzy mieli wyroki 20, 25 lat, umarzano im, rozpatrywano sprawy jeszcze raz. (...) Magdalena też wyszła na wolność i starała się w Moskwie, żeby jej to dziecko dali. Mówili że jej wyślą dziecko, a ona - że się nie ruszy dopóki jej dziecka nie oddadzą. I oddali. Przyjechała z nim tutaj w 56 roku, matkę odnalazła (UWAGA następuje powojenna historia Magdaleny i jej córki, która jest we Francji).

[Do 51 roku byłam w Neksykanie. Jak zrobili Berłagi (koniec 49r.) zaczęli ściągać węźniów z różnych części (Kołymy), mnie przewieziono do Magadanu, do obozu właściwie przejściowego. Wyprowadzano nas do pracy. Nie pamiętam, w którym miesiącu tam przyjechałam. W zimie robiło się ochronę dróg ze śniegu, układało się pryzmy z jednej i drugiej strony. Były takie mrozy straszne, że jak się chodziło za potrzebą, to spodnie watowane się ściągało, ale już nie można było podciągnąć, bo ręce kostniały, bielały. Koleżanki od ogniska leciały i ubierały. To była zima 51-52. Wtedy już miałam numer: Ż 2 884. (...)

Jak się ociepliło, wzięli nas na budowę składów kamiennych 6 kilometrów od Magadanu. Mieszkałyśmy w pałatkach brezentowych, pluskwy nas żarły strasznie. Inni pracowali tam przy karczowaniu lasu. I tam właśnie zachorowałam bardzo ciężko na żółtaczkę. Lekarka, jak się później okazało felczer weterynarii, miała podrobione papiery, że jest lekarzem i na Kołymę przyjechała duże pieniądze zarabiać. (...) Jak się do niej przyszło, to nie pytała, co dolega, tylko jaki paragraf i ile lat wyroku. W tym czasie ja przechodziłam do niej z żółtaczką zakaźną. Stan był ciężki. temperatura bardzo wysoka, ponad 40 stopni. Raz straciłam przytomność, majaczyłam w nocy, ale leżałam na sali jedna Marusia (dzięki niej może żyję), która cierpiała ogromnie, bo miała zapalenie miedniczek nerkowych. Nie mogła spać (...) widziała, że ja majaczę, bredzę, narobiła alarmu i wtedy wezwali lekarza z wolnego szpitala. Wiem tylko, że na drugi dzień byłam skłuta, dano mi adrenalinę do mięśnia sercowego (...). Ale nim popadłam do tego szpitala, chodziłam do tej "lekarki" żółta jak cytryna i ona mi, oczywiście, nie dawała zwolnienia. Siebie nie widziałam, bo lusterek nie było. Wyprowadzali mnie do pracy, a taki wstręt miałam do jedzenia, że nawet widząc jak inni jedzą, odwracałam się bo mi się zbierało na wymioty. Zmamlałam sucharek...chudłam, słabłam, znowu do niej szłam, ona znowu nic. W końcu konwój (...) powiedział, że on mnie do pracy nie weźmie, bo nie odpowiada za chorych ludzi (ludzki jakiś konwój). Poszłam na nary, leżałam, każde nachylenie powodowało wymioty. W końcu dostałam wysokiej gorączki i zaprowadzili mnie do szpitala więziennego. I wtedy był ten ciężki stan. Robili mi sondy, litr, pół litra żółci wytaczali. Dzidka Szmi-gier mnie ratowała. Była w tym samym obozie, w jednej brygadzie pracowałyśmy. Nigdy Dzidce nie zapomnę: sama siusiała po nogach z braku cukru, mocz się jej nie trzymał. W tym czasie dostała paczkę ze Lwowa, 2 kg. cukru. Potrafiła się podzielić, przyniosła mi. Mówię: "Dzidziu, ty przecież sama potrzebujesz cukru!" - "Alinko, ja się

z tobą po połowie podzieliłam". A jak przyszłam do baraku, to dziewczynki mi powiedziały, że ona dwie łyżeczki do buzi, a resztę mnie przyniosła. I zawsze jak leciała do pracy, przed wyprowadzeniem biegła choć pod okno zapukać, uśmiechnąć się, zrobić "pa pa". Z pracy też przylatywała. Na imieniny z grysiku i żurawin przyniosła mi torcik. Kupiłam od kogoś suche owoce (Urug), bo to słodkie. Miałam pieniądze na koncie, ~~bo~~ bo raz 500, drugi raz 1000 rubli zaraz po moim przybyciu (na Kołymę) ktoś mi przysłał ze Lwowa. Nie wiem kto. Nie wolno było brać, ale w czasie choroby lekarz wydawał zaświadczenia. Potem już nie wolno było przysyłać. W Berłagu to nawet listy.. kazali co miesiąc pisać, ale to wszystko do kosza wyrzucali (...). Zdemaskowano ich, bo ktoś robił porządki i znalazł masę listów.

Chorowałam dosyć długo, około trzech miesięcy, w szpitalu przyobozowym na 23 kilometrze koło Magadanu. W tych pałatkach brezentowych mieszkaliśmy, izba chorych była murowana. Potem byłam jakiś czas na zwolnieniu, nie wolno mi było chodzić do pracy (...). Posłali mnie drugi raz na budowę składów kamiennych, kamienie się dźwigało. Krótko pracowałam, dostałam ataku serca. Na szczęście dla mnie przyjechała karetka pogotowia z Magadanu i jak lekarz zobaczył jaki straszny jest stan więźniów, zebrał komisję, kilku lekarzy, parę osób było w tej komisji. Ja byłam jedyną Polką tam. Odtąd nie byłam w pracy ani razu aż do wyjścia na wolność. To był koniec 52 roku, a w 54 mnie zwalniano.] Do żadnej pracy nas nie było wolno wykorzystywać, najwyżej jak chciałyśmy to 2 godziny dziennie w obozie z drutów robiło się gwoździe i "drankę", listewki. Bo budowali wolnym na 6 kolimetrze domki z surowej cegły ("saman"), glina, siano, sieczka, woda - mieszało się to, wysychało - coś w rodzaju cegły. Te "dranki" kładło się na wierzch, otynkowane glina.

Jak zrobili tę komisję w 52 roku, to 7 czy 8 osób było pełnych inwalidów, ja do nich należałam. Reszta została skierowana do krótszego wymiaru pracy, na lżejsze prace na 6 godzin. Praktycznie

nie szły z konwojem na 8 godzin, ale miały prawo po sześciu godzinach nie pracować, tylko czekać, aż się dniówka skończy (...).

Część (więźniarek) komisja skierowała na 10 dni na dożywienie - O~~P~~ (Obogatielnyj pajok), wzbogacona racja. Ja po ataku serca 6 tygodni leżałam, a potem mnie wzięli do Magadanu i tam razem z innymi pełnymi inwalidami robiłam te dranki, 4 kilometry od Magadanu.

Śmierć Stalina przeżyłam na 6 kilometrze, w tych pałatkach (UWAGA, nie zgadza się czas). Patrzyli tylko na nasze miny (przez radio ten pogrzeb), cieszyłyśmy się w duchu, nie okazując tego, bo każdy bał się karceru (...). Po miesiącu, jak był Talenkov i Bułganin, zarządzono pierwszą amnestię dla politycznych. Bo dotychczas po wojnie były amnestie tylko dla kryminalistów (...). Pierwsza amnestia chyba około połowy 53 roku. Oni nas jeszcze nie zwalniali, ale zdjęli numery nam, budowali kioski w obozie. Nie pamiętam dokładnie kiedy, chyba już byłam w Magadanie. Pieniądzy na rękę od razu nie dawali, tylko przyszły "kosek szczoty", czyli mieli za nas płacić przedsiębiorstwu tyle co innym wolnym, z tym że myśmy dostawali część, ileś procent dawali na nasze konto. Z tego można było sobie raz czy dwa w miesiącu (jak był dobry komendant, to pozwalał dwa razy) w tych kioskach kupić makaron, kaszy, suchej cebuli (rzadko była), smalcu, owoców, margaryny, cukru (bardzo mało). Jak ludzie sobie tego pojedli, nie musieli już jeść bałandy śmierdzącej. I chleb dawali do obiadu na stół. Wtedy właśnie widziałam, jak do wiader zbierano resztki dla świń. To było dla mnie radosne, bo widziałam przedtem na 23 kilometrze dochadziagi, ludzi tak głodnych, że ustawiali się w kolejce przy jedzących, patrzyli - i jak ktoś zostawił choć dwie łyżki czegoś - zjadali to. To było tak przykre, że nieraz zostawiałam wszystko, bo nie mogłam przełknąć, jak widziałam te dochodziagi patrzące tymi głodnymi oczyma. To są straszne oczy, oczy głodnych ludzi, trudno to sobie wyobrazić, to specyficzne: organizm wydziela ból wieloletniego głodu i nędzy (...).

A w Ustiumczyku, zdaje się, czy w Magadanie, było takie miejsce, gdzie ludzie ze szpitala, kompletne dochodziagi, byli wysyłani na odżywienie. Dostawali tam herbatę, dodatkowy czerpak kaszy i zupy. A zimno było w stołówkach - skostniali przychodzili. Z tyłu mieli przywiązane kociołki, odwracał się taki i ta z rozdzielni dawała mu tam wszystko: zupę, kaszę, herbatę - a on szybko szedł do baraku, odgrzał trochę i jadł to. Bo inaczej nie był w stanie.

Więc jak się widziało, że zostaje na stołach, to była radość. Niedługo szłam na wolność. Zwolniłam się 5 marca 1954 roku. Miałam coś zaczotów (pół roku z Neksykanu i trochę ze szpitala wolnych). Jak wyjeżdżałam to zabrali mi książeczkę pracy. Niektórzy się wykłócili i im nie dali. (...)

[Wyjście na wolność było bardzo smutne, człowiek nie wierzył, czy będzie na wolności czy nie będzie.] Z czwartego kilometra do Magadanu na komendę NKWD prowadzono mnie pod konwojem, jeden z karabinem na przodzie, drugi z tyłu z bagnietem (...). Szłam sama. Obóz przekazał mnie komendanturze. Tam kapitan popatrzył, kazał zrobić zdjęcie. Mówię, że nie mam pieniędzy (miałam 20 rubli, Magdalena mi przekazała jak szłam na wolność, ale coś kupiłam) Więc kazali bezpłatnie. potem ściągali. [Szpargałkę ze zdjęciem dali i podpisałam, że zwolniono mnie "pod takim a takim paragrafem" z obozu, nie wolno mi się nigdzie ruszać, co miesiąc mam się meldować na NKWD. I na zsyłkę. Nie określili na ile lat, takie rozporządzenie Moskwy. Ja miałam 10 lat obozu i 5 lat "porażenia praw". Jeśli się ruszę z miejsca, które oni mi przeznaczają, to dostaję nowy wyrok 25 lat. To musiałam podpisać. Miałam to szczęście, że zwolniono mnie w Magadanie. Ale już poza Magadan nie wolno się było ruszać. Jednak parę razy wyjeżdżałam "na ryzyko". No i podpisałam, jak wszyscy, że nigdy nie ujawnię, jak byłam sądzona, przez kogo, i jak było w obozach. Jeszcze wtedy nie było mowy o powrocie do kraju. Był to marzec 54 rok.]

Już wtedy wyjeżdżali niektórzy, kto nawiązał jakiś kontakt rodzinny. Rodzina przysyłała "zapotrzebowanie", że przejmuje na siebie obowiązek karmienia danej osoby (...). Z tego co ja wiem, to tak: przed nami pojechał Franek Maksymiuk, po nim Zosia Słowikowa, mieszkanka Wilna, nauczycielka. Ale pojechała do Gdańska. Miała tylko 5 lat wyroku, nie udowodniono jej, że należała do AK, tylko że ukrywała przynależność męża. (...) Trzech synów zostawiła, synami zapiekowała się jej rodzona siostra, która mieszkała w Słupsku. Mąż ożenił się drugi raz z partyjną jakąś, pewnie i sam się do partii zapisał, rozwód dostał, bo żona w więzieniu. Powróciła do synów. Andrzej Słowik to jest jeden z jej synów, plastyk, zdaje się. Nie wiem, czy ona żyje, korespondencja się urwała, ale jest chyba grubo po czterdziestce. W 46 roku miała już 50 lat. Potem wyjechali Paczuszynscy, wyjechał Edward Stefanowicz, potem Józef Nosowicz, który już nie żyje. Oni samolotami ~~xxkax~~ z Magadanu do Moskwy, samolot był pewny, bo pociągami to różnie...mogą wysadzić i dalej do jakiegoś obozu. Przecież i o nas wiele razy pisano w gazetach, że zwolniają a dalej do obozu wysyłali. Można było nie wierzyć. M-śmy jechali grupowo, koło dwustu osób jechało, już była większa repatriacja. Oni pokrywali koszty. Za dziesięć lat trudu i cierpienia zafundowali nam bilet na pociąg do Polski...

Co jeszcze o obozach?

(UWAGA następne strony są jakby uzupełnieniem do poprzedniej opowieści, stąd "rwany" tok, dużo powtórzeń z poprzednich taśm)

Zanim do Neksykańskiego "Domu młodzieńca" przyszła akuszerka, rodzila tam jedna Polka, która była wywieziona z rodziną w 40 roku, nie pamiętam za jakiej miejscowości, z dawnych kresów. Była mała dziewczynką, jak rodzice umarli, czternastoletnią wzięli Rosjanie, siedemnastoletnią wydali za mąż za Rosjanina Morozowa. Pracowała w księgowości, zwalono na nią winę za jakąś malwersację, bo młoda i Polka. Dostała siedem lat, paragraf gospodarczy. Chodziła na Kołymie

bez konwoja, chyba w 47 roku ją przywieźli. Poznała tu Adama Piotrowskiego, który był wolny. Jego dziadek był powstańcem i Adam już w Rosji się urodził. Gdy w 39 roku zajęli tereny wschodnie Polski, czym prędzej chciał się przedostać do Polski, złapali go i sędzili z paragrafu o szpiegostwo. Odsiedział do 47 roku, był już dojrzałym mężczyzną jak ona go poznała. No i powiedział: "Masz mały wyrok, będzie amnestia, ja się na pewno z tobą ożenię" (pracowali w jednym biurze). Zaszła w ciążę i 6 stycznia 51 roku urodziła córeczkę, przyjmowała poród. Byłam akuszerką, księdzem (bo ją chrzcili z wody) i chrzestną matką tej dziewczynki. Nazywała się Jadwiga Elwira. Nie wiem, czy wróciła, kontaktu więcej z nią nie miałam, przypuszczam, że Adam Piotrowski postarał o powrót do Polski, ale nie wiem.

Po pracy na przyisku ~~Moldiak~~ byłam bardzo chora, do żadnej pracy mnie nie wysyłali jako inwalidkę. Nawet w baraku nie mogłam iść do ubikacji sama, dniwalna prowadziła mnie do kibla w umywalni pod rękę, tam się załatwiałam i ona to wylewała.

W 49 roku nawieźli do Magadanu tych z wysokimi wyrokami - samolotami ich wozili. Nie zdążyli ich zaopatrzyć w żywność i był straszny głód. Transport był unieruchomiony w zimie, nie było tam pociągów, trzeba było samochodami dowozić. Przy niskiej temperaturze 40 stopni opony pękały. Z samolotu zrzucaли, dużo żywności uległo uszkodzeniu, a trzeba było i wolnych, i więźniów nakarmić. Było za mało. Wolni nie chcieli chodzić do pracy za 300g pszennego chleba, to chodził pełnomocnik śledczy i mówił: "Nie pójdziecie do pracy to 25 lat wyroku". To kto chciał mieć wyrok drugi? Przyszła wiosna, poprawiła się sytuacja. (...)

Byłam ciężko chora. Pamiętam jak dziś - Boże Narodzenie. Myślałam: tam, w Polsce, ludzie zasiadają razem do stołu, chociaż kawałek chleba mają, a ja już więcej jak miesiąc okruszki chleba nie widziałam... I wtedy wpadła mi myśl do głowy, że przecież mam te

kawałki futra w poduszec^{ke}. Jak umrę, to i tak to ktoś weźmie. Sprze-
dałam je przez lekar^{ke} i ona zaopatrywała mnie w żywność. Miałam
i konserwę wieprzową amerykańską, i jajka sproszkowane, śmietanę
sproszkowaną i ryż, i chleb jakiś. Nie był to jeszcze ^{By} Berlag, nie
mogłam sama gotować. Była tam pani Stasia Szmato^{wicz} z Leningradu,
córka właściciela sklepu ze sprzętem muzycznym, który urządził się
w Leningradzie (Matka jej była aktorką, uciekła z rosyjskim aktorem,
ojciec, Polak i patriota oddał dwie córeczki do zakonnic, nauczył
po polsku, wychowywał bardzo dobrze na Polki. Matka wróciła z gruźli-
cą, pomagał jej materialnie, ale powiedział: "Dla dzieci umarłeś,
nie będziesz na ich psychikę oddziaływać"). Pani Stasia gotowała
jedzenie i do łóżka mi przynosiła. Oczywiście dzieliłam się z nią,
bo to była więźniarka. To było w Susumanie. Ciężko było, pału kro-
ków nie mogłam o własnych siłach zrobić. Kiedy głodowałam, marzyłam
o rizotto. Ona ug^otowała z konserwy i ryżu to rizotto, zjadaliśmy.
(...) Stasia Szmato^{wicz} pięknym językiem polskim mówiła, to była
Polka z duszy, serca, krwi. (UWAGA następuje opowieść o Stasi nie
związana z obozem). Wychowywała córeczkę siostry, Lidie, która wy-
szła za Polaka we Lwowie. Pani Stasia (miała już wówczas koło czter-
dziestki) na kolei pracowała w biurze. Był głód, do pracy przecho-
dziła przez chazajstwo, ogrodnictwo rosyjskie (...). Właściciel
działki starał się o nią, ona go nie chciała. Zaczaił się na nią,
jak po dródze do domu brała z pola ziemniaki, doniósł jako na zło-
dziejkę i dostała 7 lat obozu. Na Kołymę wywieźli (...).

Najcięższy obóz? W Ustiumczyku miałam ciężką pracę, bo myśmy
pracowały przy wyrębie lasu. To była bardzo niebezpieczna praca, bo
nosiło się olbrzymie "bałany". My, kobiety, piłowałyśmy na górze,
potem się na dół to spuszczało, te "bałany" leciały, trzeba było
być ostrożnym, żeby który nie zahaczył. Najcięższe dla mnie było
noszenie kłoców dużych, ściętych - na ramionach ileś tam osób nio-
sło.. Jakby ktoś upuścił, to i zabić mogło, i kalectwo możliwe.

Często-gęsto, gdy przyszło mi wozić taczkami roztwór (betoniarka to robiła, wylewała na taczki, nieraz dużo), myślałam, że to ostatnia moja taczka. Bardzo ciężka praca. Mieliśmy brygadierkę Rosjankę, Marusię (nazwiska nie pamiętam), ona na mnie patrzyła, woziła za mnie kilka tacek, mnie kazała wypoczywać. Była tam też Magdalena Rozwadowska w roli opiekunki pielęgniarki, dawała nam z Dzidką tran to pomagało trochę na oczy, poprawiało się. Zachorowałam na tę ~~żółtacz~~ żółtaczkę potem. 52 rok był dla mnie najniezwyklejszy, bo i żółtaczka i atak serca.

(...) Kiedy wyszłam na wolność od komendanta NKWD, miałam adres przez Zosię Słowikową. Miałam się zgłosić do jednej pani z Wilna, która u pułkownika Gruszy pracowała jako pomoc domowa, nie znam jej nazwiska. (Z Wackiem się jeszcze nie znaliśmy, wiedział, że wyjdę w tym dniu przez Zosię Słowikową). Zosia zaprowadziła mnie tam, dali mi obiad, potem mnie Zosia zaprowadziła do Andrzeja Mackiewicz^a domku. (...relacja jakby urwana)

"Kochana rodaczko, chociaż się nie znamy, jak najbardziej jesteśmy sobie bliscy jako Polacy. Zostawiam klucze i całą spiżarnię do dyspozycji". I była tam i kiełbasa, i chleb. Gościłam jak u siebie w domu. Andrzej to był dusza-człowiek. Wieczorem tam Wacek przyszedł, ktoś go przyprowadził, tam się poznaliśmy. Władek Cygan przyszedł zdaje się z Wackiem. Po dwóch dniach zwolniła się Ada Sciborkówna (takie zdaje się miała nazwisko panieńskie)-Merlak, ja ja przyjąłem. Andrzej wrócił w nocy (miał zapasowe klucze), myśmy na jego łóżku spały obie. Chciałyśmy miejsce właścicielowi zrobić, ale on "nie, nie" - rozłożył sobie kożuch na podłodze.

Dostałam się do pracy do pewnego pułkownika jako pomoc domowa, z tym że w szpitalu pracowałam, a tam tylko pomagałam. Nie miałam nakazu pracy. (...) Pracę tę zdobyłam przez znajomą panią Helenę czy Zosię, nie pamiętam, była z Wilna. Pułkownik miał córkę w 10 klasie, przed maturą. Było mi tam dobrze, byli mi życzliwi, pułkownik i jego żona byli grzeczni, córka się do mnie jakoś garnęła.

Nieraz się przytuliła, żeby jej coś opowiedzieć. Rozmawiałyśmy o zagranicy, nic nie wiedziała, chłoneła. "Muszę to zachować tylko dla siebie - mówiła - nawet nie mogę się z koleżankami dzielić". Dała mi brązową szkolną sukienkę. Pułkownikowa też mi wiele pomogła.

Do szpitala nie dostałam się jako felczer (choć jako więźniarka mogłam jako felczer pracować), ale jako niania i to do dzieci chorych na dezynтеріę. Z Dziką, Nelą, Zosią Słowikowa pracowałyśmy na zmianę. Była też Helena Bułka z Wileńszczyzny. Z Wackiem pobraliśmy się 11 czerwca. Wacek napisał do mamusi, przysłała nam bardzo serdeczny, ciepły list, obrazek Matki Boskiej z błogosławieństwem. Ślub wzięliśmy cywilny, bo tam kościołów nie było. Po powrocie dopiero wzięliśmy ślub kościelny w Łące (?). Ksiądz powiedział, że to ważne, bo byliśmy w takiej sytuacji.

Z księżmi, poza jednym księdzem grekokatolickim, na Kołymie nie zetknęłam się (...). Był to ksiądz unicki, ukraiński. (...)

Rola religii? To było dla nas najważniejsze, najistotniejsze. Dzięki temu nie załammywałyśmy się duchowo, psychicznie. Człowiek nie miał czasu na modlitwę na klęczkach, ale samo westchnienie, ~~szu-~~ ~~eenie~~ "kto się w opiekę podda Panu swemu, a całym sercem szczerze ufa Jemu" ...w drodze sobie człowiek mówił. To podtrzymywało nadzieję. Żeby przetrwać, człowiek musi wierzyć w coś, siły duchowe z czegoś czerpać.

Polek (na szczęście) było mało. Ze dwa lata byłam w obozie i ani jednej Polki nie spotkałam. Wychodziłam za barak i mówiłam do siebie po polsku, sprawdzałam, czy nie zapomniałam... W pierwszą noc wigilijną po przyjeździe na Kołymę na 23 kilometry całą noc nie spałam. Wyszłam za barak - tyle kilometrów do ojczyzny! W baraku szczyry latały, było ich dużo, nie gryzły, nie rzucały się, ale latały nawet koło głowy. Z Polek była wtedy Stefa Ryżkowa, ale to była podobno folksdojczka. Kto wie, czy nie współpracowała z Niemcami, zawsze o kraju źle się wyrażała, więc się z nią w pierwszą wigilię nie *kontaklowałam.*

Nie wiem, czy Jadzia Sokołowska wtedy tam była. Heleny Tuszyńskiej (z nią jechałam w pociągu) nie spotkałam tam, była chyba gdzieś na przystanku. Mówiono (Adolf Popławski śp) że podobno ona do tych należała, ale to jej osobista sprawa. Była na 20 lat zasadzona, powróciła do Polski, słyszałam od kogoś. Na inne wigilie tośmy się składały, pokoleđowały razem, połamały się chlebem zamiast opłatkami. Czasem ktoś w paczce dostał jakiś suchy placek -opłatek, to już później. Nela, Dzidka, Zdzicha Pacz^{Oszyńska} i Jasia Dyr^{wlik} (?) przyjechały rok później. Najbardziej bała się Nela, jak została sama bez Polek to była dla niej tragedia (...) Jak ją zobaczyłam lejącą krokodyle łzy, to prędko poleciałam zapisać się na etap.

(...) Lekarz znał nas, bo organizowaliśmy spotkania z lekarzami rosyjskimi. Jeden Głazunow się nazywał, był jakiś okulista, schodziłiśmy się, gawędzili, bo wśród kulturalnych ludzi chce się przebywać (...). Dużo skorzystałam od więźnia Iwana Siemionowicza, starszaka oddanego chorym. Siedział od 37 roku, zaocznie dziesięć lat dostał, potem bez wyroku go trzymali. On mówił, że pozostawił dzieci takie jak ja, był bardzo serdeczny. Nauczył mnie jakie szmery w płucach przy jakim schorzeniu występują (...), dużo się nauczyłam (...). Potem pracowałam z Maksym Dawydowiczem, od niego też się wiele nauczyłam, co mi pomogło, jak byłam w Ustiumczyku bez pediatry(...).

Polki się trzymały. Narodowościowych konfliktów nie było. Ukrainki były zacięte, umiały po polsku, ale tylko po ukraińsku odpowiadały. Mają prawo, ich język. Ale jak byłam na budowie składów kamiennych, kopałyśmy fundamenty, były moje imieniny. To one złożyły mi życzenia i powiedziały, że dzisiaj ja nic nie robię, cała brygada pracuje za mnie. Mówię, że nie mogę tak... "Nie, proszę nam filmy opowiadać, a my będziemy dżubać". Czyli był wzajemny życzliwy stosunek mój do nich i ich do mnie. Bo Dzidce to one czasem dokuczały. Mówiłam jej: "One są złośliwe widząc twoją słabość, ty się obraź, postaw się, one nie chcą cię złamać, są trochę złośliwe". Bo Dzidka

bardzo dobre serce - one jej naubliżały, ona się uśmiechała. Ja jej broniałam, dzięki mnie musiały ją respektować, mniej jej dokuczały. Ale była jedna pół Litwinka pół Polka (...) nazywała się Mila Abdankajte. Rozmawiała ze mną po polsku (...) wspólnie przypominaliśmy sobie polski po dwóch latach braku kontaktu z językiem polskim. To Litwinki zaczęły ją "chepać". "Co chcecie, ja mam więcej krwi polskiej jak litewskiej, a zresztą, czy wam krzywdę jakąś robię? Mam prawo rozmawiać w języku jaki mi się podoba!". Ale ciągle ją sztorcowały za język polski. Tak samo było z Ukrainkami. Jedna Zosia (zdaje się ze Stanisławowa, ~~stanisławowa~~ farmakologię studiowała, nie skończyła, wyszła za mąż za Polaka Michalskiego i razem z nami wrócili do Polski) też mówiła po polsku, to Ukrainki do niej z pretensjami. A ona: "Cóż to, wyście do polskiej szkoły nie chodziły, nie chcecie rozmawiać po polsku to nie musicie, ja ujmę ojczyźnie nie przynoszę" (...). Mówiła mi to Mila i Zosia.

Były osoby podejrzane o donosicielstwo, było nawet podejrzenie, że niby ta Cesia Szajowska (obecnie Jackiewiczowa), ale w to nie wierzę. Była brygadierką i mogła różne sprawy (do władz) mieć w sprawach brygady. Fakt jest jednak, że my do niej po polsku a ona do nas po rosyjsku. (...) "Cesiu, zapomniałaś języka polskiego?" - "No wiesz, nie mogę, mogą mnie z brygadzystki zdjąć, na ciężka robotę ja się nie nadaję..." Czyli ją przestrzegali, żeby kontaktów nie miała. Ale nie słyszałam, żeby ona komuś krzywdę zrobiła. Ja nie byłam namawiana na współpracę, tylko mąż. Na pewno była namawiana na Stefa Ryżkowa (Ryszkowa?). Siedziała za szpiegostwo, miała 20lat wyroku. A potem nagle lekkie prace w szwalni, mężczyznom wycinali dziury na numerację, mogli wyciąć malutką, a ona Wackowi taką dużą wycięła umyślnie, przez złośliwość. Czyli mogła współpracować... Wiem, że jak tu wróciła (bo jej mąż był Polakiem i synów wychował na Polaków), były głosy, że nie chciał jej przyjąć, bo pewnie wiedział, że ona dla Niemców pracowała. Ale potem to się jakoś ułożyło

czy on umarł, bo z synami kontakt nawiązała. W Krakowie u Neli u Mackiewiczów spotkałam się z nią parę razy, ona była w Katowicach.

Na Kołymie obozów męsko-żeńskich nie było. Ze zboczeniami seksualnymi się spotkałam, jak byłam w obozach ogólnych, z kryminalistkami. (...Powtórzenie) Nieprzyjemne sceny, wulgarny język. (...)

3 grudnia przekroczyliśmy granicę polską. Bardzo było nieprzyjemnie, jak nas od razu wezwali na UB w Rzeszowie, zamknęli żelazne drzwi w wojewódzkim urzędzie. Przesłuchiwali, dali dowód tylko na pół roku, potem znowu na rok, dopiero po dwóch, trzech latach nam stałe dowody dali. Przesłuchanie było zawsze (po powrocie), trzeba było swój życiorys powiedzieć. Rzeszów może (słyszał z tego), był bardziej papieski niż sam papież.

Jak przejechaliśmy starą granicę, była wielka radość w Podwoleczyskach. Wyszliśmy ~~xx~~ z wagonów, całowaliśmy ziemię, całowaliśmy matkę ojczyznę. Poszliśmy do kościoła i flagami udekorowaliśmy pociąg (...). Chyba ktoś je dostarczył, pewnie poddali nam tę myśl, żebyśmy zapytali, czy można pociąg udekorować (...). Cały pociąg był ubrany, tyle okien, a w każdym prawie oknie dwie chorągiewki na krzyż z zielenią (zerwaliśmy w pobliskich krzakach). To było miło - biało-czerwona flaga na lokomotywie, ten pociąg udekorowany. Wjechaliśmy do Lwowa. Po drodze Polacy tacy smutni... (...)

Koniec taśmy szóstej

dowisko unieszkodliwić. Chodziło o to, żeby w zarodku tępić wszystkie poczynania. Mnie też proponowali, żebym na Ukraińców donosił, bo to moi wrogowie (...), ale nie zgodziłem się. Miałem ponieść surową karę, mieli mnie posłać do obozu specjalnego ("tam skoro po- dochniesz"), ale wysłano mnie do specłagru (...).

W barakach rzadko zdarzały się konflikty narodowościowe, bara- ki były ~~wyjątkowo~~ narodowościowo byrdzo podzielone...

(przerwa w nagraniu do końca strony A)

Strona B również nagrana nie od początku, poniżej od środka relacja

- Jeżeli chodzi o konflikty narodowościowe, to w obozach spoty- kałem ich mało, ponieważ Sowieci stosowali głównie zasadę *diVide et impera*, starali się rozdzielać, żeby nie było grup. W brygadach były rozmaite mieszaniny. Wypadków, żeby ktoś specjalnie szykano- wał jednych czy drugich - nie widziałem. Były pewne małe utarczki, sprzeczki (...). Ja też, jak byłem w obozie w Magadanie miałem scys- sję z kierownikiem budowy, Andrejewem, Rosjaninem. Był więźniem, inżynierem, w swoim czasie brał udział w budowie dworca w Nowosybi- rsku, był ogólnym architektem. Miałem z nim scysję, bo on uważał, że Polacy mają nie myśleć, tylko starać się bezwzględnie wykony- wać jego polecenia. Więc coś mi powiedział, ja jemu też powiedzia- łem, a on: "Ty polski pan!" A ja: "Paszoł ty!" (tu na po matuszka- Poszedł do brygadiera, żeby ten wziął mnie z roboty. Wziął mnie. Wieczorem po pracy, jak byliśmy w baraku (mieszkał w tym samym ba- raku), mówi: "Jaworski, pogaworim serio, czemu myśmy się kłócili? To była drobnostka, a ty wazwałeś mnie po matuszka- Ale ja ci prze- baczam!"

Pytanie o poczucie samotności.

- W obozie w Kotłasie byłem jednym z kilku Polaków i czułem się tam bardzo osamotniony. Starałem się z tymi Polakami w jakiś sposób kontaktować, ale nie za bardzo wywnętrzać się (...). W nocy (praco- wałem na maszynie *cincinati*) przyszedł do mnie naradczyk, szef obo-

zu, który był więźniem. Miał stopień lejtnanta sowieckiego. Odwołał mnie na bok i mówi do mnie tak: "Jaworski, my teraz jesteśmy więźniami, ale i ty i ja jesteśmy oficerami. Chcę być w stosunku do ciebie solidarny i uprzedzam cię, że dostałem polecenie od specczasti (oddziału specjalnego) ażeby śledzić każdy twój krok. W związku z tym ty uważaj, nie bądź z nikim w żadnej przyjaźni, przed nikim się nie wynętrzaj i radzę ci, abyś z Polakami absolutnie nie przebywał". Ostrzegł mnie . To było na Sylwestra, a pierwszy styczeń był wolny od pracy. A ja zostałem tak sam ze sobą, z własnymi myślami, ponieważ nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Czy pójść do Polaków? I tak przetrwałem ten dzień Nowego Roku bez zetknięcia się z kimkolwiek, tylko z własnymi myślami. Tam mnie to załamało, że nie można nawet swoim dowierzać.

(Pani Kopisto powtarza relację o dwóch latach bez Polek i mówieniu do siebie po polsku, żeby nie zapomnieć języka).

P. Alina Kopisto, 9 grudnia 1989 roku.

256

Urodziłam się 2 października 1917 roku w Kochsztowie (Korsztowie: koło Przemyśla. Rodzice mieszkali we Lwowie, ale kuzynka, zakonnica w Kochsztowie zaprosiła moją matkę w ciąży i siostrę, która już była na świecie i zmarła potem mając 11 lat - na mleko itd, była wojna. Jako dziecko często chorowałam, uodporniłam się dopiero koło szesnastego roku życia. Chrzczona byłam we Lwowie w parafii N.M.P. Sbieżnej jako córka Heleny z Korosiewiczów i Antoniego Żulińskiego. Dzieciństwo i młodość spędziłam we Lwowie, tam chodziłam do szkoły i do Nazaretanek, ale krótko. Dzieciństwo miałam szczęśliwe, ojciec pracował w fabryce Olkus (?) płyt klejonych jako zastępca dyrektora. Mieliśmy dobre warunki, mieszkanie słuźbowe, była pomoc, niania. Fabryka się spaliła, ojciec był dwa lata bez pracy, chesne u Nazaretanek wynosiło 50zł miesięcznie, tak że rodzice nie mogli już sobie pozwolić na posyłanie mnie tam. W spalonej potem fabryce naczelnym dyrektorem był inż. Geze (?), który potem zbudował sobie fabrykę pod Wiedniem i zaproponował ojcu (był z nim zaprzyjaźniony) objęcie tam posady. Chciał, żeby ojciec tam przyjechał, zapewniał mu mieszkanie, pracę itd. Ale mamusia powiedziała: „Nie, my zostaniemy Polakami, dzieci wśród tych Niemców się wynarodowia”.

Mamusia umarła jak miałam 17 lat. Ojciec po dwóch latach ożenił się z wdową, przeniósł się do Warszawy zabierając najmłodszą siostrę, która miała siedem lat jak mamusia umarła. Pozostało rodzeństwo, siostrę o dwa lata ode mnie młodszą i brata z 1921 roku zostawił mi pod opieką. Przysyłał nam pieniądze, ale warunki już były trudniejsze, dom na moich barkach. Odkładałam ciągle, myślałam, że jak rodzeństwo skończy szkoły to uzupełnię swoje wykształcenie. Marzyłam o medycynie, ale to zostało marzeniem. Tylko w czasie okupacji niemieckiej chodziłam do dwuletniej (podziemnej) szkoły felczerskiej.

Wcześniejsze dzieje rodziny znałam od babci Julii, matki ojca, która zmarła mając 100 lat. Jej pogrzeb był 2 stycznia 1939 roku. Babcia do stu lat była sprawna umysłowo, nie chciała dożyć trzeciej wojny, przeżyła pierwszą i ukraińską. Ojciec ~~pochodził~~ był potomkiem Romana Żulińskiego, który został powieszony razem z Trauguttem pochodził z tej części rodziny, która była wywieziona na katorge na Sybir. Jego matka też była wywieziona i tam spotkała dziadka. Wielu braci Żulińskich było nauczycielami, bo jeden z nich przehubał majątek, żona wzięła resztki w swoje ręce i kształciła synów. Pamiętam jeszcze z rodziny stryjenkę Łucję, matkę Tadeusza Żulińskiego, który był jednym z adiutantów Józefa Piłsudskiego. Babcia Łucja do końca życia chodziła w żałobie, czarna aksamitka na szyi, brylantowa broszeczka. Mieszkała we Lwowie. Z portretów i opowiadań znałam jej męża, Józefa Żulińskiego. Jak byłam małą, przyjeżdżała do nas.

(UWAGA! Opowieść o rodzinnych koneksjach i wywózkach na Sybir jest obszerna, więcej niż połowa chyba taśmy 1, ale bardzo nieskładna, poplątana, urywana, nie daje się spisać chronologicznie itd. Powyższe jest nikłym streszczeniem, żeby dać ogólnikowy pogląd na "pochodzenie społeczne", rodzinę p. Kopisto.)

Wojna. Pamiętam, jak pierwszy raz był bombardowany Lwów, (...) było to 1 września przed 10 rano. Zeszłam do szewca dać buty do naprawy. Nic nie widać, ale słyszemy detonacje, myślimy - próbny alarm, nie ogłaszali go jednak wcześniej. (...) A to już bombardowali dworzec, Skwirów koło dworca. Słoneczny, piękny dzień. Około 10.30 już wozili rannych do szpitala (...). Nasza dzielnica nie ucierpiała. Przeżyłam to strasznie. A najwięcej przeżyłam, jak bolszewicy weszli. Siedziałam i łzami się zalewałam. Nie mogłam się pogodzić z tym, że ta hołota zajęła miasto. Czy bardziej się bałam Rosjan, czy Niemców? Niemcy - wiedziało się, że to wojna. Nie weszli do Lwowa, byli na rogatkach, nie miałam z nimi kontaktu.

dopiero jak drugi raz weszli. Podpalili więzienie na Wazimierzowskiej. W nocy przyszedł do mnie pan Stanisław ¹Łopornicki, był dyrektorem biura Hartwiga. Nie poznałam go: posiwiął. Młody człowiek w wieku czterdziestu kilku lat, którego nie można było poznać. ~~Wzi~~ Uciekł. Oni najpierw wyprowadzali na rozstrzał, ale pomyśleli, że nie zdążą, więc zamurowali i podpalili więzienie. Część zaczęła uciekać z drugiej strony, część zabili w drodze (przy ucieczce?), część zranili - różnie to było. On uciekł bez szwanku i on właśnie opowiadał o tym wszystkim : co i gdzie robili, że rozstrzeliwali, maltretowali na śledztwach, męczyli moralnie. Nie z rozkoszy posiwiął. Jak Niemcy przyszli, wysadzali piwnice, poprzez piwnice dostawali się do tych ludzi, co byli na dole. Ludzie byli w szoku, do obłędu doprowadzeni, mieli poobgryzane palce. To nie jest wymysł, widziałam na własne oczy. Piwnicami się tam dostali, żeby ludziom, którzy jeszcze żyli w jakiś sposób pomóc. To był 41 rok.

Jeśli chodzi o konspirację antyniemiecką, to byłam łączniczką. Nosила różne rzeczy w różne miejsca. Nie mogę powiedzieć kto i co, bo różni to byli ludzie i różne pseudonimy. Ale zaprzysiężona byłam dopiero na jakieś 4 miesiące przed aresztowaniem. Przysięgę odemnie odbierał Marian Dub, nie pamiętam jego pseudonimu. Jego dziadek, Ukraińiec, ożenił się z Polką, on już był Polakiem, czuł się nim. (...) Byłam więc kolporterką. Roznosiłam "Słowo Powszechne" i "Wytrwamy", czasem jakieś biuletyny, ale te pisemka systematycznie. Część najpierw dostałam od pana Mariana, ale potem miałam kontakt z Oleńką Zielińską, ona przydzielała mi tę prasę. Jest w Krakowie, razem byłyśmy sądzone.

Aresztowano mnie 30 grudnia 44 roku na ulicy Dominikańskiej o godzinie 4 po południu. Rosjanie, regularna armia, weszli 26 lipca. Podfrontowe wojska były wcześniej, to ich właśnie karmiliśmy, bo byli odcięci od kotłów, od kuchni, zawszeni, zabrudzeni, zagłodzeni. Kiedyś widziałam z okna, jak szedł krasnoarmiejec i schylił

się, by wziąć do ~~xx~~ buzi okruchy chleba z chlebika. To się serce krajało. W obozie wolałabym z głodu umrzeć, niż chodzić po śmietnikach. Są różne charaktery. (...)

Miałam pseudonim "Halina". W dniu aresztowania byłam umówiona na Dominikańskiej z pewnym panem, który się potem okazał konfidentem. Wyszłam z domu (...), ulica Dominikańska była obstawiona. Żołnierze z karabinami (...). Zauważyłam, że naprzeciw idzie ten pan z którym miałam spotkanie. Pomyślałam, żeby tylko nie podszedł, bo jakaś obława. Przeszedł na drugą stronę i wszedł do bramy. Wtedy podszedł do mnie kapitan NKWD Zujuw. Gdzieś z boku stał kamochód osobowy, prowadził mnie do tego samochodu. Widziałam jakichś ministrantów, jakiegoś ojca w ~~h~~ białym, chyba na nieszpory się zbierało. Chciałam dać znak, coś powiedzieć, ale pomyślałam, że nie mogę nikogo narażać. Mózg szybko w takiej sytuacji pracuje. Do kapitana mówię, że to jakaś pomyłka. Były przypadki, że pod pozorem aresztowania zabierali za miasto i obrabiali. A ja ubrana w karakułowe futerko, czapeczka i mufka karakułowa. Mówię głośno po polsku, bo rosyjskiego nie znałam. Wsadzili mnie do samochodu na tylne siedzenie. Z jednej strony ten kapitan z odbezpieczonym pistoletem, z drugiej żołnierz z karabinem, na przednim siedzeniu też żołnierz koło kierowcy z karabinem skierowanym na mnie. Chcieli mnie chyba zastraszyć, bezbronną kobietę. Zawieźli mnie na Sygnówkę. Było to przedmieście, dzielnica domków rzemieślniczych. Oczywiście rewizja. Miałam trzydzieści parę sztuk tych gazetek. "Skąd dostałaś?". Nie miałam przy sobie żadnych dokumentów, wymyślałam jakieś nazwisko i imię. Futro zdjęli, obmacali, do drugiego pokoju posłali. Tam była kobieta, kazała mi się do naga rozebrać, zrobiła rewizję od stóp do głów i z przysiadami. Oczywiście nic nie znaleźli oprócz tego, co miałam w torbie.

Wsadzili mnie do sutereny, chyba do jakiejś pralni, beton, nie

Przyszedł do mnie jakiś oficer polski na ich polecenie, jakiś porucznik, który namawiał mnie, żebym się przyznała, że przecież taka organizacja była, była niepotrzebnie i dlatego my tak wrogo (jesteśmy nastawieni) do Związku Radzieckiego, oni są naszymi przyjaciółmi itd. Ja na to: "Proszę pana, wstyd mi, że pan jest Polakiem polskim oficerem i w ten sposób prowadzi rozmowę ze mną". - "Ale ja pani chcę pomóc". - "Jak mi pan chce pomóc, to wiem, że mająjechać na rewizję do mnie do domu (już im podałam swój adres, bo wiedziałam, że tam już wszystko usunięto. Byłam umówiona z panem von Jegermanem, wszyscyśmy byli umówieni, że w razie jakiegoś aresztowania ukryje wszystko. Był wtajemniczony. Tak wybuchła wojna miał 60 lat, jako oficer rez. sam się zgłosił, bo ich nie brali na front, a potem, żeby go nie wywieźli, zaczął pracować jako stróż u pijarów w szpitalu. Jak przyszli Niemcy, zaczął pracować w biurze u Niemców, namawiali go żeby przystał do Niemców (nazwisko von Jegermann!), że oddadzą mu majątek nad Dniestrem. Odpowiedział że jest Polakiem, ma serce i duszę polską, nazwisko nie ma znaczenia. (...). Był wtajemniczony) - Jak mi pan chce pomóc (mówię do tego oficera polskiego), to proszę, żeby mnie wzięli ze sobą, jak będą tę rewizję robić. Bo mnie aresztowano w jednej parze bielizny chciałabym sobie jakies rzeczy wziąć." I on mi to załatwił. Wzięłam całą walizkę rzeczy z domu: bieliznę, kołdrę watowaną (kiedyś służyła służącej, ale puchowa się nie nadawała do wzięcia), zmianę pościeli, nocną bieliznę, nóż, widelec, łyżkę, łyżeczkę. (aaa) Jak weszłam do mieszkania, z drugiego piętra zobaczyłam przyjaciółkę, Terenię Rynkową, powiedziałam "trzymam się", podeszłam do cioci (mieszkała ze mną ciocia, daleka kuzynka matki, którą wzięłam do siebie, bo była chora), która była zdziwiona, że nie jestem ranna, bo szukali mnie przecież po szpitalach i nie znaleźli, powiedziałam też "trzymam się". Długo rozmawiać nie pozwolili i zaczęli rewizję. I w bibliotece znaleźli to, czego od dawna po-

szukiwałam: stryjenka Łucja przed śmiercią dała mojemu ojcu wszystkie wycinki z gazet o swoim synu, Tadeuszu, który był adiutantem Marszałka, o tym, jak zginął. On chodził do szkoły razem z moim ojcem (...). Znaleźli to! Jeden mówi: "Ty burżujka, тебе давно треба było rozstrielat!"

Potem już śledztwa były sporadyczne, raz brali Oleńkę, raz mnie. Szeptaliśmy, nie wtajemniczając trzeciej, Stefy, żeby jej nie narażać. Po tym wszystkim przenieśli nas do innego domu, bo już przez kogoś gryps rzuciłyśmy, nawiązały kontakty, wiadano, gdzie siedzimy, dostałam nawet pierogi, a w pierogach ^(otrowek) grafik chemiczny. Zorientowali się i przerzucili nas do większego budynku. Tam spotkałyśmy naszych panów, też tam siedzieli, w innych celach. Widziałyśmy ich, jak rąbią drzewo. Widziałam tam Wacława Rzepkę. Znow się zaczęły "peredacze", paczki żywnościowe, gorące jedzenie.

Raz w nocy przychodzą: "zabierajsia s wieszczami" - jeden miał łopatę. My mówimy, że pewnie na tozstrzał, piszemy pożegnalne grypsy, ubieramy jak najwięcej rzeczy na siebie, żeby, jak nas przestrzela, żadna Rosjanka nie ubierała naszych rzeczy. Świstki pożegnalne napisane - miałam kolorową apaszkę, w nią je zawiązałam. Wieźli nas ciężarowym samochodem nakrytym plandeką. Były tam szpary. Gdzieś w okolicy dworca głównego wysunęłam tę chusteczkę spod plandeki. Potem zorientowałyśmy się, że nas zawieźli na Łackiego; tam nas nie przyjęli, u Brygidek na Kazimierzowskiej też nas nie przyjęli. Zawieźli nas na Krasińskiego do willi hr. Putkasińskiego (?). W tej willi kiedyś była biblioteka polska, oni polską spalili, zrobili swoją, propagandową. Jak weszli Niemcy, to tę z kolei spalili, a jak Rosjanie wrócili, to zrobili tam już nie bibliotekę, lecz więzienie.

Trzymali nas w piwnicach. W celi kobiecej był kran z wodą. Przeprowadzili rewizję, zabrali widelec i kubek itd, tylko łyżkę zostawili. Wszystko to było, zanim odbył się sąd. (...) W celi

Może się zgodziła, bo po jakiego licha ją tam dali, jak jej nie sądzono? Wiedzieli, że my po zasądzeniu będziemy sobie otwarcie o wszystkim mówić i ona może im coś donieść. Może tak przypuszczali. Ale myśmy były ostrożne, jak ją tam zobaczyłyśmy, tym bardziej potwierdziło się nasze podejrzenie. Na tym punkcie poznałam miłą pół-Plkę, pół-Węgierkę, Jadwigę Wojciechowska, też na 10 lat zasądzoną. (...) Dowiedziałam się, że ciężko chory jest nasz kolega Tadeusz Dobrzański, że leży. Udało mi się tam przemycić, rozmawiałam z nim, wierzył, że wróci. Był jedynym opiekunem swoich starych rodziców, lecz, niestety, umarł na przesyłce w dniu mojego wyjazdu, 21 kwietnia. Miał 30 lat, leżał w śledztwie na betonie, dostał galopującej gruźlicy (...) Miał szlachetne, ładne rysy, gorączkę ok. 40 stopni i tak mówił: "Proszę pani, ja z tego wyjdę, przecież jestem jedynym opiekunem rodziców staruszków."

Na tej przesyłce panie Paprockie przynosiły mi żywność i ciepłą odzież (...) na wywóz na Sybir. Ile godzin one stały! Jedna nie pracowała, to rano zajmowała kolejkę (bo tam było dużo narodu, każdy prawie miał kogoś), trzeba było cały dzień stać do oddania rzeczy najpierw, a potem się czekało na zwrot naczyń z jedzenia) Dostałam od nich i sucharów i cukru kostkowego, masło topione klarowane w pudełkach (nie wolno było w słojach), słoninę z cebulka, jakieś figi, orzechy, suche owoce. + oprócz tego żywność na świeżo.

(...) Nie spotykałyśmy się z kryminalnymi. Były prostytutki-Rosjanki ale my trzymałyśmy się z sobą, w naszych celach kryminalnych nie było. Jak chodziłyśmy się myć, to przez ściankę rozmawiałyśmy z naszymi mężczyznami. I ja dostałam od nich krzyżyk ze srebrnej dziesiątki z Piłsudskim: na tle orła był wryty krzyż i szpilka wydrapane "Od siedmiu kolegów". Czyli jeden z tych ośmiu odpadł. Może nie mieli do niego zaufania. Ten krzyżyk w mydle dowiozłam do Wąganu. Jak tam pracowałam w wolnym szpitalu, pewien felczer-narkoman chciał, żebym mu to dała, raz chciał to jakoś zerwać, kałcuszek

urwał. Później nosiłam na nitce, widocznie się przetarła i zgubiła ten krzyżyk, czego bardzo żałuję - taka pamiątka i tak ja ratowałam! Na przesyłce we Lwowie miałam jeszcze na tym łańcuszku srebrnym srebrny medalik: z jednej strony Częstochowka, z drugiej Nieustającej Pomocy. Ale Jadzia Wojciechowska tak mnie prosiła, że jej ten medalik dałam, a sobie zostawiłam krzyżyk.

21 kwietnia zabrali nas z punktu przesylnego, 22 kwietnia załadowali (łyżkę i łyżeczkę zabrali, jak nas wsadzali do wagonu). Prowadzili nas z getta przez cały Lwów, Żółkiewska itd. My z workami bo walizek nie wolno było mieć - oni z jednej i drugiej strony z bagnetami i z psami. Był dzień, szliśmy razem wszyscy: mężczyźni, kobiety, również te prostytutki. Widziało się (na Grodeckiej) znajomych, chcieli podchodzić, ale im nie dawano, odtrącano ich.

Z e mną w wagonie jechała Stefa Ryszkowa, Halina Pyszyńska, pani Halina i jeszcze jedna Polka, nazwisk nie pamiętam. Utrwaliłam się Pyszyńska i Ryszkowa, bo z nimi później byłam na Kołvmie, z tamtymi nie. Wagony bydłce, przeładowane, prycze na górze i na dole, kładli po cztery osoby na dwuosobowe. (...) Ponad 40 osób w wagonie.

Sam transport był koszmarny, bo wieźli nas w upał. Dawali słone śledzie, wody nie dawali. Najgorsze było opukiwanie pociągu po dachu młotkami drewnianymi - to się w mózgu czuło. Czasem w noc czasem w dzień, zależy, kiedy był postój. Obowiązkowo raz, dwa razy dziennie (czasem w nocy) nas liczyli. Otwierali i wchodzili jak pociąg stał, wyrwali człowieka ze snu. Liczyli spędzając najpierw wszystkich na jedną stronę wagonu, a potem - po jednej osobie na drugą stronę. I każdy drewnianym młotkiem walił człowieka - musiało być uderzenie. Jeden był delikatniejszy, inny z pasją walił, tak że jak człowiek w kość dostał w łopatkę, to czuł długo.

Do załatwiania się rynienka. Najgorzej było tym, którym wzdło przy niej spać, bo każdy przechodził przez śpiących, budził - no i ten smród straszny! Była taka pałka do ^{el}prz**o**bijania, bo r**o**wnienka

wąska, kał nie chciał schodzić, trzeba było go pała wybijać. To było potworne: lato, człowiek się dusił bez powietrza i jeszcze ta cały smród. Na początku miano jeszcze "pieredacze": cebulę, czosnek, czuło się smród dodatkowy. Wody mało dali, garnuszek. Człowiek nie wiedział, czy umyć się, czy wypić. Często-gęsto musiałam ukrywać swoją wodę, bo dzieliłam: połowę na szmatkę, żeby się trochę przetrzeć, umyć, połowę do picia. Musiałam robić to skrycie, bo jakby inne zobaczyły, to by mi wydarły, wcale by mi nie dały wody - bo się marnuje (...). A jeszcze menstruacje. Jeszcze ja miałam szczęście, że mi się zatrzymała jak mnie aresztowali i 11 miesięcy nie miałam. A Dzidka to w ogóle nie miała, dopiero przed samym wyjściem na wolność, myśleliśmy, że straciła. (...)

9 maja już byłam w bydłącym wagonie nad Wołgą. Zaczęło się strzelanie. Dziwiliśmy się - co się dzieje? Nic nam nie chcieli powiedzieć. W końcu jeden mówi: "Pobieda, wojna koniec!", więc strasznie ucieszyliśmy się, że nas wrócą z drogi. A oni dalej powieźli.

Jeszcze w granicach państwa polskiego żegnaliśmy naszą ojczyznę. Ogromny żal, każdego dławiki łzy, każdy mówił "muszę wrócić". Tego przeżycia nie da się opisać. (aaa) wywozu z ojczyzny do obcego państwa. (...) Wjechaliśmy na teren Rosji - nędza straszna. Wieźli nas nie przez miasta, tylko (bocznymi szlakami), tam się widziało całe dno nędzy. Domki drewnianymi pokryte, do komina przywiązana koza pasie się. (...) Ludzie strasznie biedni. Byliśmy zrozpaczeni: gdzie oni nas wiozą? Na takie dno nędzy i rozpacz...

Ural przepiękny. Na szczycie wysoko é Stalin. (...) Ilu ludzi tam straciło życie, jak ten pomnik ciągnęli? (...) Było ładnie, wiosna, wszystko zielenieło, kwiaty, tulipany dziko rosły, ta jęgie zielone - jakiś inny oddech, człowiek odwracał głowę od własnej nędzy i kierował uwagę na piękno i krasę przyrody.

Jechaliśmy tak. W Krasnojarsku nas do kaźni poprowadzili (...). Z pociągu jakoś tam doszłam, ale jak puszczono ciepłą wodę, zem-

dlałam szybko, upadłam. Mam wadę serca od urodzenia, zaskabłam. Be powietrza się jechało, człowiek nie chodził, zmęczyłam się droga do łaźni. A tam "sanobrobotka" (tu już kobiety goliły, tylko łaźni prowadzili chłopcy, oczywiście musieli podglądać) (...). Najgorsze to zdzieranie z siebie odzieży, walka o swoje żelazne kółeczko, na których wieszano wszystko w prażarce. Potem ~~rzuca~~^W było jak, musi pani uważać na swoje, żeby nie ukradli, bo rzucają na kupę, cała ta chałastra z kolei rzuca się na rzeczy. Nie uważasz, to jakieś kachmany ci zostaną... Upadłam. Nie wiem, kto mnie umył. Do wagonu nie sły mnie nie Polki, tylko Ukrainki, bo one były mocniejsze, dziewczyny ze wsi, przyzwyczajone do fizycznej pracy. Konwój kazał, to mnie niosły na zmianę. Nie z życzliwości. Ukrainki bywały różne. Banderowki to tylko "reżat polakiw" i to wszystko. Ale po zasadzeniu i w obozie miny im trochę zrzedły (...). Co do mnie, to każdego uważałam za więźnia. Najbardziej dla nas życzliwe były Estonki. (...). Wieźli nas okrętem uzbrojonym, trzymali jako złom pod pokładem w trumie, z którego nie wolno było wychodzić, tylko do ubikacji. Morze się oglądało tylko przez dziury w ubikacji, zielone fale. Pr burcie stanąć nie było wolno. W Nachodce słychać było bomby - wojna japońska. 23 kwietnia wyruszyliśmy ze Lwowa, a w połowie czerwca dopiero byłam w Buchcie Nachodce. Zapamiętałam tę datę, bo moje imię niny są 16 czerwca i Jadzia Sokołowska przyniosła mi konwalie z życzeniami - w tych łachmanach... (...) Strasznie kocham kwiaty i tego omal życiem nie przypłacałam, bo w drodze nas raz wyprowadzili na spacer z pociągu i schyliłam się po konieczynkę. Jak wystrzelił bojec, to tylko zaświstało. Nie kazał mi wyrzucić, powiesiłam sobie w wagonie, żeby pachniało, ale już nigdy na takie rzeczy się nie zdecydowałam. (...)

W Nachodce w obozie przesylnym byłam od 14 czerwca do 28 lipca. Tam już było wszystko: kryminaliści, polityczni, wszyscy. Można

1. III

było być połamany, okradzionym, zabitym... (...) Spałam w nogach na górnych narach z Ukrainkami czy Litwinkami, w nocy któraś nogi wyprostowała, spadłam na te, co spały na dole. Potem już spałam na dolnych narach na siedząco. Potrzebowali ludzi do pracy do obozu męskiego, tam chorowali na biegunkę. Ponieważ miałam przygotowanie średniego personelu medycznego, chodziłam do tej pracy. Mogłam sobie wśród wolnych (tam) coś wymienić na żywność, byłam zadowolona. I tak za swoje zamszowe buty i płaszcz kąpielowy dostałam trochę chleba, smalcu (pamiętam, że Jadzia Sokołowska wklepywała go sobie pod oczy i na buzię, żeby "mieć ładną cerę"). Mimo że było gorąco do pracy szłam w futrze, bo tam była taka banda złodziei, że mogłam niczego nie zastać po powrocie. W czasie wieczornego liczenia złodziejki w paru miejscach pocięły mi futro żyłką na plecach (...). Raz wracałam z pracy, podeszły Ukrainki z naszej brygady i mówią (nie zwracałyśmy się do siebie per ty): "Proszę pani, myśmy podsłuchały, że mają dzisiaj na panią zamach zrobić. Nie poszłam do stołówki, tylko do obozu katorżniczych (za drutem na tym samym terenie) do szpitaliku. Tam jedna chora, która w ogóle nie wstawała pod siebie moje futro położyła, a ja po powrocie do baraku powiedziałam, że je sprzedałam, "bo mają mi ukraść, to wolę przejeść". Przyniosłam jakieś zakupy. Nie bardzo uwierzyły, bo któraś ze złodziejek najadła się mydła, żeby pójść do szpitaliku katorżanek i x niuchała, ale nie wyniuchała. Ta chora nic nie powiedziała. (...) Z futrem im się nie udało, ale kryminaliści spod głowy w Nachodce wyciągnęli mi worek i trochę rzeczy pokradli :nośną bieliznę itd. Kryminalistki to był najgorszy element, różnęły się, krały, współżyły ze sobą (...) w takim tłumie różne sceny się działy na oczach, coś obrzydliwego! Kiedyś potem dawali jakieś przedstawienie dla ehorych, widzę, w mojej nocnej koszuli haftowanej, jedwabnej jedna wolna występowała jako w sukni balowej. Odebrać nie mogłam, złodziejki to przemyślały, sprzedawały (...). Trochę rzeczy mi się uratowało.

skłonna do gruźlicy. Przenieśli mnie na oddział wewnętrzny.

(Przyjechałam w 45 roku, a Nela i Dzikka rok po mnie. Tam poznałam Nelę, która już była po jakichś robotach i tam się z Nela zaprzyjaźniłam. Ona była silna, ale źle się czuła bez Polek, w towarzystwie rosyjskim. Rosyjski kaleczyła, nie chciała się uczyć - ~~f~~"chcecie, to nie rozumieście, co się będę tego parszywego rosyjskiego uczyć").

Na wewnętrznym lekarzem był Maks Dawydycz, chyba Żyd, nazwiska sobie nie przypominam. Wiedział, że jestem bardzo dobrym pracownikiem i jak się zwolnił (wyszedł na wolność), ściągnął mnie "za specjalnym zapotrzebowaniem" do wolnego szpitala, a ponieważ wiedział, że Nela mnie nie odstępowała, na nią też zrobił zapotrzebowanie. Mieszkałyśmy wtedy na terenie obozu na czwartym kilometrze. Zanim poszłyśmy do pracy w szpitalu, robiłyśmy najobrzydliwsze rzeczy z Nela: naradczycy wysłała nas do dziesięciolatki w Magadanie czyścić klozety. Myślę sobie, ładnieśmy wpadły. Tam pracowałam w szpitalu, miałam warunki inne... a tu obrzydliwe klozety, obsmarkane oplute, po klozetach spotykali się obrzydliwie chłopcy z dziewczynkami. Nieraz się złapało kogoś. (...) Magadan to już była stolica, szkoły, pałac kulturę z figurami tych buców na dachu. Tyle że mogliśmy się zawsze wykapać po tej robocie pod prysznicem, na jakąś zupę i chleb nas zapraszali, ale praca była obrzydliwa. Mówię do Neli: "Trzymaj się, nie załamuj, jesteście więźniarkami, musimy się ratować". Do pracy prowadzono nas pod konwojem, z tyłu kłuli w tyłek bagnietami. Pewnego razu jakoś się spóźniłam na wyprowadzenie do pracy, Nela czeka zrozpaczona, że nas wezmą do karceru, a tu przychodzi naradczycy: "Kozak, Zulińskaja, gdzie wy się podziewacie, wy macie do bolnicy chodzić do pracy!"

Zacząłyśmy więc pracę w wolnym szpitalu, ja jako pielęgniarka, a Nela jako niania ~~w~~ na oddziale zakaźnym dziecięcym. Pracowałam jako pielęgniarka i felczerka, zastrzyki robiłam i jeszcze musiałam przyuczać Rosjanki

siałam przyuczać Rosjanki do zawodu, bo na początku był brak średniego personelu medycznego, dawali dziewczyny z frontu, co to umiały głowę zawinąć, ranę, ale nie znały się na niczym innym.

Jeszcze gdy byłem w szpitalu dla więźniów (przed skierowaniem do wolnego), mieszkałyśmy na terenie obozu i praca trwała 12 godzin. Raz w czasie purgi straciłam przytomność i leżałam w śniegu, ale widocznie niedługo: ktoś się na mnie natknął. Byłabym zamarzła na ^ykość, to była moja pierwsza zima. Miałam twarz i palce podmrażane, na jednym mam bliznę do dzisiaj. Był taki okres, że po dwórzurze w szpitalu brali nas na krycie dachu, rąbało się gwoździe z drutu - palce sobie odbiłam, kiedyś zleciałam z dachu (wtedy Olesiński napisał ten wiersz "Dwadzieścia dziewięć temu lat przemiły czorszczyk ujrzał świat, a gdy krzyżyków skończy trzy, pojedzie znowu straszyć lwy" (...?) Wiersz mi zabrali, oczywiście. W szpitalu dla więźniów zawiązaliśmy kółko Polaków, Felka Giedroyć tam leżał ^{o/}chry, spotykaliśmy się. Kiedyś Jadzia Sokołowska chciała, żebym jej kupiła skarpety od złodziejasków, którzy tam przychodzili handlować, chciała sobie z wełny zrobić szalik czy czapkę. Więc poszłam w przetrwie gdzieś za barak, żeby obejrzeć towar, przecież nie mógł mi na dachu ten złodziej skarpet pokazywać. Spotykam Felka w stołówce, ^{*}nie kłania mi się, nie odzywa się, w końcu pytam, co się stało. Odpowiada, że nie rozmawia z takimi Polkami, które włóczą się po zakamarkach z łajdakami. "Ja włóczę się? Jak można mnie posadzać? Jak się ma wątpliwości, to trzeba spytać tak a tak! Pojechałby pan dalej i jaką by mi pan opinię robił? My tu, garstka nas, reprezentujemy wszystkie Polki i nie wolno psuć opinii!" Oczywiście Felek przeprosił itd (...)

Musiałam więc przyuczać Rosjanki, lekarstwa, nazwy po łacinie. Lekarz mówił, pielęgniarka notuje (...) Miałam salę naczelników i salę kobiecą. Z lekarzy był teraz wolny ~~Maksym~~ Dywidowicz, Lidia Nikołajewna i Galina Pietrowna, Estonka, która od dawna była w Rosji, bardzo miła, sympatyczna.

Miałam kłopot, bo gdy obeszałam swoje dwie sale z Maksym Dawidowiczem, tamte Rosjanki już na mnie czekały. Bo nie umiały zapisać nazw leków, musiałam je przyuczać, pisać po łacinie, żeby sobie na ruski przetłumaczyły, pilnować, żeby się nie pomyliły przy rozdziale leków, chodzić z nimi na wizyty - a oddział duży, wszystkich nie o blatam. Potem się nauczyły trochę, przynajmniej lekarstwa pomagały roznieść, gorączkę pomierzyły. Zastrzyki ja sama musiałam robić.

Pacjenci wolni nie wiedzieli, czy jestem Polką, czy jestem więźniarką. (...) Po przyjeździe pod konwojem do szpitala ubierałam się tak jak wolne. Miałyśmy białe klozowe spódnice zawiązywane z tyłu bluzki beżowe albo w pastelowych kolorach i pelerynki białe z czerwonym krzyżem. Te rzeczy przyszły z Ameryki (...) na bluzkach były metki amerykańskie.

Raz wchodzę na salę i słyszę, jak jeden pułkownik, oficer N... opowiada o Polakach przeładowywanych na barkę jak te "ich czapki kwadratowe, te płaszcze rozdymały się na wodzie jak ptice" - stać wiem, że oficerów polskich wziętych do niewoli, topiono. Mówili: "Ładowaliśmy i puszczaaliśmy". W którym roku i gdzie, nie wiem. Dawniej Mogę powtórzyć to, co słyszałam, dat zmyślać nie będę, ale nowa była o oficerach wziętych do niewoli, wyraźnie, a w 44 roku nie brali już... Wszłam do sali, jak on to mówił, z sadyzmem i satysfakcją to mówił (...) może nawet topił tych ludzi. On miał zgorzel nogi, cierpiał bardzo. Nigdy bym mu trucizny nie dała, ale nie mogłam mu współczuć w jego cierpieniu. Po prostu lód mi się zrobił w sercu, myślałam, co za łotr.

(...) Potem przyszły nowe pielęgniarki, komsomołki po rocznym kursie i te już wiedziały, że jestem więźniarka. Miałam nowierzone zdawanie antybiotyków i narkotyków. Ja to otrzymywałam z apteki, ja rozpisywałam (rozchód-przychód) i jak te wolne potrzebowały, to musiały się do mnie zwracać. I kiedyś jedna z nich: "Dlaczego mam się do niej zwracać?" Maks Dawidowicz był ordynatorem i

Obóz był związany z wydobywaniem złota. Tam się wysadzało dynamitem ziemię, trzeba było kopać głębokie na dwa metry dziury, stamtąd więźniowie wyciągali urobek. Szuter był głębiej, tam było lżej dłubać. Były promprybory mechaniczne, ~~przez kółka~~ wolni przy nich pracowali (przerabiali). Jak coś zostawało, to trzeba było to na amerykankach przelewać, jeszcze tam jakieś ułamki złota były. (...) Dwie osoby nosiły ziemię na noszach, ^{jedna} ~~przez kółka~~ czerpakiem polewała a druga skrobakiem przecierała kamyczki, polewane wodą to opadało na dno. Jak się skończyło pracę, to przy ostatnim stadium, etapie przemywania i wydobywania czystego złota już wolni pracowali.

Pracowałam w tym szpitaliku. Tam się zetknęłam ze strasznymi ranami (opisuje to Obertyńska). Miałam jedną taką chora Rosjanke całą w ranach i wrzodach (...). W tym strasznie zaropiałym ciele trzeby było szukać miejsca, skąd można by wziąć krew z żyły i ~~xx~~ wszczepiać w tyłek gdzieś. To była tzw autogemeterapia (...) Potem ją gdzieś zabrali, młoda dziewczyna, z przestępczego, ale człowiek.

Pridurki i wszyscy, którzy mieli dostęp do żywności, do kotła - kradli. Ja zawsze przed wydawaniem posiłku musiałam wziąć próby, stwierdzić, czy się nadaje. (Naczelnik?) miał kochankę, która pracowała przy kuchni. Raz coś było nie w porządku, zwróciłam jej uwagę ona mu się poskarżyła. Był obrażony. Nie mógł mnie zdjąć, bo nie był lekarzem. Dopiero jak mu się czyrak zrobił - wezwał mnie. Do tej pory nawet na ukłon nie odpowiadał, a myśmy musieli się kłaniać władzom więziennym. (...)

Potrzebowali na jedną zmianę kogoś do wolnego szpitala do Maldiaku. Skierował mnie, a tu, do ambulatorium dał jakiegoś Rosjanina, który zaraz sobie do "pomocy" wziął jakąś Besarabkę - już tam wszystko było: nocowanie i inne rzeczy (...). W wolnym szpitalu pracowałam krótko. Raz naczelnik szpitala poszedł w obchód po podległych mu posiołkach. Miałam dyżur, gdy właśnie przyjechała komisja z Moskwy. Oczywiście obchód. Ja tam zwolnienia wypisywałam wolnym

przed rozpoczęciem wizyt była u niego zawsze "pięciominutka" w gabinecie, nocna zmiana przekazywała nam obowiązki. I on powiedział tak: "Słyszę, że są pretensje, że "zakluczone" wam leki wydzielają. Tutaj u mnie na wydziale nie ma zakluczonych, jest średni med-pracownik. A komu ja mam powierzyć rozdzielanie narkotyków, to jest moja sprawa!" (...) Miał prawo, był wolnym człowiekiem, ordynatorem, te one nie miały nic do gadania (...) Tam brakowało lekarzy, musieli się z nim liczyć. Od tego czasu nie było szemraniny. A ten felczer który zniszczył mi łańcuszek od krzyżyka, nie podawał narkotyków, sam je łykał, bełkotał czasem. Jakimś spirytusem popijał. Potem go gdzieś przenieśli.

Pracowałam tam dwa lata prawie na internie, Nela na oddziale zakaźnym dziecięcym jako niania. Jako niania pracowała tam też Zosia Słowikowa i pani Helena Bułka.

Pewnego razu był wybuch okrętu. Okręt z materiałami wybuchowymi potrzebnymi na pryiski zatonął i uszkodzone były inne okręty z ludźmi, które były w pobliżu. Leżała u nas doktór z okrętu "Mińsk" opowiadała mi o tym, zresztą widziałam tych rannych. Wtedy mnie 2 doby do obozu nie prowadzili w ogóle, dzień i noc znosili rannych marynarzy, trzeba było rozcinać nogawki - straszne to było. Nie pamiętam dokładnie, ale to był 47 albo 46 rok. Innym razem przypłynął okręt wolnych ludzi z rodzinami, dzieci na statku zachorowały na biegunkę, była kwarantanna. Z braku miejsc na oddziale dziecięcym, wydzielili dwie sale na oddziale dorosłych, a już wtedy był ten personel po rocznej szkole pielęgniarskiej. Jedną z nich przeznaczono do tych dzieci. Raz robiła zastrzyk małemu dziecku, męczyła, nie mogła trafić. Zawołała mnie, przyszedłam od razu (żyłoby trzeba wyczuć, zwłaszcza u takiego małego dziecka), jak tylko wzięłam igłę - trafiłam. Wtedy matki poleciały do ordynatora, żeby mnie tam przeznaczył. I miałam i swoje sale, i ich - no, ale dzieci trzeba ratować. Nie obsługiwałam ich, ale zastrzyki musiałam robić. (---) Nawet na chirurgię mnie czasem wołali zastrzyki robi

Pomagałam jak mogłam. Mogłam dać np. tzw. OP (obogatitelnyj pajok) na 10 dni. Nie wyprowadzano wtedy tych ludzi do pracy, dawano kilo chleba i czerpak kaszy więcej ^{ni zwykle} jak normalnie. Zawsze wypatrywałam starych i chorych, wynędzniałych jakichś, młode zawsze jakoś sobie poradzą. Bo niektórzy dawali młodym, czerpali z tego zyski, dzieliły się. Jednej Polce, Marysi, z zemsty za takie praktyki ucho obcięli: dawała jednym niesprawiedliwie, inni chcieli. A nie można się było poddać, nie można było ulec. Miałam taki wypadek potem, jak byłam na sianokosach, że jedna uciekła z muzykiem, całą noc jej ~~nie~~ nie było. Złapali ją i do karceru ciągną. Ona jęczy, że balnaja, ~~o~~ puścili ją do mnie do ambulatorium (...). Katarła sobie sola jedna pachę, wsadza termometr - 39 stopni. Badam puls - normalny. "Pozbie-
raj się do połowy!" - jeden termometr pod jedna pachę, drugi pod drugą (...). "Co ty myślisz? Durska znalazłaś? Gdybyś potrzebowała czasem odpocząć, to przyjdź i normalnie powiedz, jak będę mogła, to cię zwolnię". To była Cyganka rosyjska, pomaszerowała do karceru I szacunek był. Gdybym jej uległa, to by inne "szakaszowki" czło-
wieka zadziobały. (...)

No i właśnie takie kobiety, które ratowałam zwolnieniem, poznały mnie. One mnie jedną mogły zapamiętać, ale ja ich nie - pozawijane wszystkie baby. Oczywiście było mi bardzo miło, że mnie tak serdecznie przywitały.

Byłam tam jakiś czas, wypoczęłam trochę, nawet mnie do pracy nie wyprowadzali, potem mnie zabrali - bo słaba byłam - na sianokosy do Chatanachu. 49 rok, lato. Na sianokosach miałam wiele przygód. Nad rzeką Chatanach około 10 km obszar, kilka punktów tych sianokosów, część odcinka nazywała się komandirowka. Zaprzyjaźniłam się z żoną komendanta, to była pani z Moskwy, kulturalna, umiała ~~xx~~ myśleć. Ponieważ nie miała z kim rozmawiać (bo żony naczelników reżima były przeważnie proste kobiety, które wierzyły w to, co radio i gazety powiedziały), często mnie zapraszała jak już skończy-
łam

przyjęcie chorych w ambulatorium. zapraszała mnie do siebie, piłyśmy herbatkę, rozmawiałyśmy. Opowiadała mi, jak się dostała na Kołymę. Była jedynaczką, w szła za kapitana, rodzice ją wyposażyli, urządzili. Ale wraz z mężem przerzucano ich w różne części kraju, zawsze tylko z rzeczami osobistymi i obietnicą, że na miejscu wszystko będzie. Nie bywało: kąć jakiś w lepiance, klepisko, stół z nieheblowanych desek, prycze itd. Urządzali się od nowa i tak w kółko. w końcu przestała się urządzać, bo co się dorobili, to przeniesienie. W końcu wojna, mąż wrócił kontuzjowany w głowę, zaraz potem przenieśli ich na Kołymę, jak bardzo wielu oficerów, którzy świat zobaczyli, bo bali się kontrrewolucji. Wysiedlali ich na Czukotkę, Kamczatkę, Kołymę. Mówiła: "Pani mogę szczerze powiedzieć, bo wiem, że pani nie wyda, a dziś bratu i siostrze ludzie u nas boją się mówić, bo nie wiadomo, czy nie pójdzie na NKWD i nie doniesie". (UWAGA powyższa opowieść jest streszczeniem)

Na sianokosach miałam obowiązek po tych wszystkich punktach chodzić, udzielać pomocy chorym. Miałam konia do dyspozycji, bo tam bezdroża. Raz koń był chory (...), obiecano mi innego, ale długo go nie było, a że miałam ciężko chorych na punkcie - wybrałam się na piechotę. Tam jakoś dobrnęłam, ale jak wracałam, zabłądziłam. Namawiano mnie w punkcie, żeby zostać na noc, ale i w obozie miałam chorych, którzy czekali (...). Szłam, zdawało mi się, że widzę dymy a to były opary moczarów. Sopki jedna do drugiej podobne, zdawało mi się, że dobrze idę, a ciągle błądziłam między sopskami. W końcu ciemności zapadają, z daleka widzę stogi siana, myślę! tam się zaruję, przeczekam do rana. Ale nie doszłam do tej kopicy, bagno prawie po kolana. Poszłam do lasu, a tam bardzo zimno (mimo upału w dzień, w nocy bywały i przymrozki) po zmierzchu, chciałam rozpalić ogień, ale ręce miałam tak skostniałe, że nie mogłam wytworzyć iskry. Bo jak się weźmie watę, glicerynę i kalihpermanganikum i trze się szybko, to iskrę można zapalić. Miałam to z laboratorium

(...) Wsłaciałam gałęzi z kosodrzewiny, chciałam się też gałęziami przykryć, ale zimno było strasznie (...) w końcu się położyłam, usnąć nie mogłam. Jak coś trzeszczało w kłrzakach, myśle, niedźwie^d bo tam i niedźwiedzie grasowały. O wschodzie słońca zaczęłam iść w kierunku obozu, opaty mnie zwodziły. W południe trafiłam na rodzinę wolnych, która pracowała w lesie, tam mieszkali. I oni mi pomogli. Przy ognisku mnie ogrzali, wysuszyłam swoje mokre rzeczy, podzielili się, czym mogli. Trzeba powiedzieć, że dobre serca mieli na ogół ci Rosjanie, zwłaszcza Sybiracy. Nakarmili mnie nawet jakąś kiebasą pieczoną na patyku, pokazali właściwą drogę.(...)

Na drodze naprzeciw mnie szedł już jakiś sierżant: "O, myśleliśmy, że jakieś nieszczęście" - doprowadził mnie do obozu, już było niedaleko. Ja się strasznie rozchorowałam, bo przeziębiam się w nocy. Leżę, lekarstwami się obłożę, prawie 40 stopni - i chorvch tak przyjmuję. Pomoc niosłam, mimo że sama chorowałam. Jakoś się z tego wylizałam, zwłaszcza że naczelnika żona mnie odwiedzała, przynosiła ciągle coś gorącego, jakieś amerykańskie lekarstwa...

Drugi raz poszłam pieszo niedaleko, powiedzieli mi, że będę mogła wrócić koniem, który zwozi siano do kopicy. Okazało się, że to koń nie osiodłany - chuda szkapina, sterczące żebra i grzbiet. Nałożyli na grzbiet siano, wsadzili mnie, grzywy się trzymałam. Jedziemy, siano spode mnie wylało, koń chudy, ja chuda - dojechałam do komandirowki, ale chodzić kilka dni nie mogłam, bo wewnętrzna strona ud miałam strasznie poobcieraną, poparzoną. (...)

Cały czas pracowałam w ambulatorium, tam nie było lekarza, ja byłam felczerem. Musiałam meldunki o ilości zwolnionych z pracy słać do "Specczasti". Miałam dobre wyżywienie, bo żona naczelnika była mi bardzo życzliwa i to ciasteczka, to na herbatkę - nieraz kończę pracę, a ona mnie pod rękę i prowadzi do siebie. Tam też ~~była~~ była taka historia: któraś z "ukaźników" (chodziły bez konwoja) była na zwolnieniu, jak się zwolnienie skończyło, wyszła niby do B

pracy - do swojego kochanka, dwa dni jej nie było. W końcu ją znaleźli już po dziesiątej, był ośboj. W karcerze dostała gorączki, ktoś ją do mnie przyprowadził (naczelnika nie było, tylko chyba jego zastępcę). Dałam jej zwolnienie i poszła na nary spać. Naczelnik w nocy wrócił pijany (lubił sobie od czasu do czasu popić, jak to zwykłym) i zaczął szaleć. W baraku zaczął ją ciągnąć za włosy, targać. Przyszłam z termometrem, zmierzyłam temperaturę, do światła popatrzyłam. I ona już wtedy miała normalną temperaturę! Ale powiedziałam, że ma. On mi mówi, żebym ją puściła do karceru, bo jestem podporządkowana jemu. Po linii obozu, mówię, to wam, ale po linii medycyny, to doktorowi (był z wolnych z jednego posiołka), może nawet ministra zdrowia sprowadzić, ona jest chora. (...) Brałam to na siebie, a on jednak miał do mnie zaufanie, nie sprawdził termometru. A byłaby wpadła. Chodziłam do jego żony i herbatę popijałam, więc mu mogłam powiedzieć: "Andrzeju Iwanowiczu, jak wam nie wstyd, przecież wy się kompromitujecie przed więźniarkami! Jak wy wyglądacie, nie będziecie mieli szacunku i respektu przez to". A na drugi dzień on do mnie i do żony na herbatce: "Poddaję się, obie przeciw mnie jesteście!"

Ale kryć kogoś było rzeczywiście niebezpiecznie (...). A często same sobie coś robiły, żeby nie pracować. Na przykład naftę sobie wstrzykiwały pod skórę, to potem ropiało. Strzykawki chyba kradły albo znajdowały jakieś wyrzucone jednorazówki. To dawało wysoką temperaturę i ropienie trudne do wygojenia i jakiś czas taka w szpitalu była. Dedy też mydło i wywoływały biegunkę, to wyglądało na czerwonkę, bo stolec z krwią. Kobiety na ogół nie obcinały sobie palców, ale np. zasypywały oczy chemicznym ołówkiem. Na jakiś czas traciły wzrok (bo ropiało), ale to było niebezpieczne, mogło to być okaleczenie dla przyszłości wzroku niebezpieczne. Ale najczęściej wstrzykiwały naftę, albo - jak ktoś nie miał strzykawki - rozcinał sobie czymś skórę i smarował naftą, wcierał, żeby był stan ropny.

po "specjalnym zapotrzebowaniu" (na średnią służbę medyczną) przeniesiono mnie do pracy do wolnego szpitala w Magadenie. Mieszkałam w baraku czwartym (UWAGA, czy nie chodzi o Czwarty kilometr?). Przyjechałyśmy tam z Nela Kozak, bo doktor wiedział, że trzymamy się razem. Nim tam przyjechałyśmy, czyściłam te klozety. Tam byłam do końca 48 roku. Potem etapem do Susumanu. Tam, w Susumanie, byłam jakiś czas i tam ciężko chorowałam. Jak mi się trochę poprawiło, to mnie wysłali na pryisk do Maldiaku jako felczerkę (początek 49 roku). W Maldiaku pracowałam przy złocie, był tam też lesopowal. W mniej więcej w 49 roku znalazłam się z powrotem w Susumanie, bardzo ciężko chorowałam. Również w 49 roku byłam krótko w ^{Ust' Omczagu} Ustiumczyku na lesopowale. Stamtąd wzięli mnie z powrotem do Susumanu jako inwalidkę i jako inwalidka znalazłam się na sienokosach w Chatanachu. Wszystko to w 49 roku. Jak wróciłam z Chatanachu, było zapotrzebowanie na felczera do "Domu Młodzieńca" w Neksykanie. 6km od Neksykana był obóz-szpital dla rekonwalescentów. Odgradzili drutami część tego obozu i zrobili "dom młodzieńca". W tym domu były dzieci od urodzenia do trzech lat życia, tam młode kobiety rodziły. Pracowałam tam do 51 roku. Byłam tam od listopada 50 roku, ściągali mnie (wcześniej) prędzej z Susumanu, ale dr Dimitrij Dimitrowicz Cukanow (o którym wspomniałam, że ożenił się z księżniczką Marią Fiodorowna, oboje bez sądu na Kozymie) był mi bardzo życzliwy, byłam z nim zaprzyjaźniona (wstrzymywał przeniesienie?). Pracował on w szpitalu w Neksykanie, był chirurgiem, miałam tam dyżury. Oboje byli mi b. życzliwi. Tam przez wartownię przechodziłam ile razy chciałam - to było najlepsze z wszystkich miejsc i moich obozów na Kozymie, miałam największą swobodę.

Przy dzieciach robiłam wszystko. Dziewięcioro dzieci nawet przyjeżdżałam sama. Etap położnej był, ale to było świeżo otwarte, nim ja ściągnęli minął jakiś czas (ok 2 tyg.), sama musiałam przyjmować

porody. Miałam nawet jeden ciężki przypadek, poród pośladkowy. Neksyken był malutkim miasteczkiem, szpital, gdzie pracował Cukanow oddalony o 6 km. Przy pomocy Marii Fiodorowny, jego żony, i jego (ściągnęłam go) dziecko się urodziło. Matka była młoda, świeżo areztowana, z "ukaźników" (skazana za spóźnienie do pracy), dobrze zbudowana, dziecko zdrowe.

W "Domu Młodzieńca" były dwie sale dla dzieci : jedna dla dużych (półtora, dwa latka), druga dla nowo narodzonych i kilkumiesięcznych. Matki, które miały pokarm, karmiły. Dochodziły do pracy 2km do spółdzielni. Dla dzieci było amerykańskie mleko w proszku. Ja zamawiałam w aptece, wypisywałam receptę i oni mi tam przygotowywali porcje na każde karmienie osobno. Prawie zawsze matka mogła karmić 2 tygodnie, miesiąc, potem się dokarmiło.

Pół roku pracowałam bez pediatry. Miałam bardzo krytyczny moment, kiedy matki przywlokły do tych dzieci (...) jakaś ciężka grypę azjatycką, po której następowało zapalenie płuc. Siedmiomiesięczne maleństwo zachorowało. Wypisywałam roztwór Ringera (?) i pięcioprocentową glukozę, żeby dzieci pić, bo przy temperaturze występuje odwodnienie. U mnie nie było ani jednego wypadku zgonu, chociaż tam, gdzie byli pediatrzy, o 6 km. ,w wolnym szpitalu, były. Dostałam tutaj właśnie pół roku zaszczepień, komisja napisała do Moskwy o zdjęcie z wyroku. Miałam satysfakcję, że nie będąc pediatrą i mając takie ciężkie stany, w warunkach obozowych potrafiłam uratować dzieci. Dysponowałam penicyliną, ale u wolnych też była (...). Jak były takie ciężkie stany u dzieci, miałam prawo "zapotrzebować", żeby matki zostawały do pielęgnacji. Dawałam spis, Dymitr Dymitrowicz za twierdził i zostawały bez żadnego kłopotu. Ja miałam wtedy osobny pokój, radio, zegar, budzik pożyczony od Cukanowej, bo co trzy godziny zastrzyki musiałam robić, wygotowywałam strzykawki i igły (...) obchodziłam ze czternaścioro ciężko chorych dzieci - a matka zwolniona, zamiast dziecka pilnować, pod piecem sobie śpi, zmęczona. By-

nie szły z konwojem na 8 godzin, ale miały prawo po sześciu godzinach nie pracować, tylko czekać, aż się dniówka skończy (...). Część (więźniarek) komisja skierowała na 10 dni na dożywienie - OP (Obogatielnyj pajok), wzbogacona racja. Ja po ataku serca 6 tygodni leżałam, a potem mnie wzięli do Magadanu i tam razem z innymi pełnymi inwalidami robiłam te dranki, 4 kilometry od Magadanu.

Śmierć Stalina przeżyłam na 6 kilometrze, w tych pałatkach (UWAGA, nie zgadza się czas). Patrzyli tylko na nasze miny (przez radio ten pogrzeb), cieszyliśmy się w duchu, nie okazując tego, bo każdy bał się karceru (...). Po miesiącu, jak był Talenkov i Bułganin, zarządzono pierwszą amnestię dla politycznych. Bo dotychczas po wojnie były amnestie tylko dla kryminalistów (...). Pierwsza amnestia chyba około połowy 53 roku. Oni nas jeszcze nie zwalniali, ale zdjęli numery nam, budowali kioski w obozie. Nie pamiętam dokładnie kiedy, chyba już byłam w Magadanie. Pieniądzy na rękę od razu nie dawali, tylko przyszyły "kosek szczoty", czyli mieli za nas płacić przedsiębiorstwu tyle co innym wolnym, z tym że myśmy dostawali część, ileś procent dawali na nasze konto. Z tego można było sobie raz czy dwa w miesiącu (jak był dobry komendant, to pozwalał dwa razy) w tych kioskach kupić makaron, kaszy, suchej cebuli (rzadko była), smalcu, owoców, margaryny, cukru (bardzo mało). Jak ludzie sobie tego pojedli, nie musieli już jeść bałandy śmierdzącej. I chleb dawali do obiadu na stół. Wtedy właśnie widziałam, jak do wiader zbierano resztki dla świń. To było dla mnie radosne, bo widziałam przedtem na 23 kilometrze dochadziagi, ludzi tak głodnych, że ustawiali się w kolejce przy jedzącym, patrzyli - i jak ktoś zostawił choć dwie łyżki czegoś - zjadali to. To było tak przykre, że nieraz zostawiałam wszystko, bo nie mogłam przełknąć, jak widziałam te dochadziagi patrzące tymi głodnymi oczyma. To są straszne oczy, oczy głodnych ludzi, trudno to sobie wyobrazić, to specyficzne: organizm wydziela ból wieloletniego głodu i nędzy (...).

A w Ustiumczyku, zdaje się, czy w Magadanie, było takie miejsce, gdzie ludzie ze szpitala, kompletne dochodziagi, byli wysyłani na odżywienie. Dostawali tam herbatę, dodatkowy czerpak kaszy i zupy. A zimno było w stołówkach - skostniali przychodzili. Z tyłu mieli przywiązane kociołki, odwracał się taki i ta z rozdzielni dawała mu tam wszystko: zupę, kaszę, herbatę - a on szybko szedł do baraku, odgrzał trochę i jadł to. Bo inaczej nie był w stanie.

Więc jak się widziało, że zostaje na stołach, to była radość. Niedługo szłam na wolność. Zwolniłam się 5 marca 1954 roku. Miałam coś zaczotów (pół roku z Neksykanu i trochę ze szpitala wolnych). Jak wyjeżdżałam to zabrali mi książeczkę pracy. Niektórzy się wykłócili i im nie dali. (...)

Wyjście na wolność było bardzo smutne, człowiek nie wierzył, czy będzie na wolności czy nie będzie. Z czwartego kilometra do Magadanu na komendę NKWD prowadzono mnie pod konwojem, jeden z karabinem na przodzie, drugi z tyłu z bagnetem (...). Szłam sama. Obóz przekazał mnie komendanturze. Tam kapitan popatrzył, kazał zrobić zdjęcie. Mówię, że nie mam pieniędzy (miałam 20 rubli, Magdalena mi przekazała jak szłam na wolność, ale coś kupiłam) więc kazali bezpłatnie. potem ściągali. Szpargałkę ze zdjęciem dali i podpisałam, że zwolniono mnie "pod takim a takim paragrafem" z obozu, nie wolno mi się nigdzie ruszać, co miesiąc mam się meldować na NKWD. I na zsyłkę. Nie określili na ile lat, takie rozporządzenie Moskwy. Ja miałam 10 lat obozu i 5 lat "porażenia praw". Jeśli się ruszę z miejsca, które oni mi przeznaczają, to dostaję nowy wyrok 25 lat. To musiałam podpisać. Miałam to szczęście, że zwolniono mnie w Magadanie. Ale już poza Magadan nie wolno się było ruszać. Aednsk parę razy wyjeżdżałam "na ryzyko". No i podpisałam, jak wszyscy, że nigdy nie ujawnię, jak byłam sądzona, przez kogo, i jak było w obozach. Jeszcze wtedy nie było mowy o powrocie do kraju. Był to marzec 54 rok.

Już wtedy wyjeżdżali niektórzy, kto nawiązał jakiś kontakt z rodziną. Rodzina przysyłała "zapotrzebowanie", że przejmuje na siebie obowiązek karmienia danej osoby (...). Z tego co ja wiem, to tak: przed nami pojechał Franek Maksymiuk, po nim Zosia Słowikowa, mieszkanka Wilna, nauczycielka. Ale pojechała do Gdańska. Miała tylko 5 lat wyroku, nie udowodniono jej, że należała do AZ, tylko że ukrywała przynależność męża. (...) Trzech synów zostawiła, synami zaopiekowała się jej roczona siostra, która mieszkała w Słupsku. Mąż ożenił się drugi raz z partyjną jakąś, pewnie i sam się do partii zapisał, rozwód dostał, bo żona w więzieniu. Powróciła do synów. Andrzej Słowik to jest jeden z jej synów, plastyk, zdaje się. Nie wiem, czy ona żyje, korespondencja się urwała, ale jest chyba grubo po czterdziątce. W 46 roku miała już 50 lat. Potem wyjechali Paczuszyńscy, wyjechał Edward Stefanowicz, potem Józef Nosowicz, który już nie żyje. Oni samolotami ~~xxkxx~~ z Magadanu do Moskwy, samolot był pewny, bo pociągami to różnie...mogą wysadzić i dalej do jakiegoś obozu. Przecież i o nas wiele razy pisano w gazetach, że zwolniają a dalej do obozu wysyłali. Można było nie wierzyć. M-śmy jechali grupowo, kołog dwustu osób jechało, już była większa repatriacja. Oni pokrywali koszty. Za dziesięć lat trudu i cierpienia zafundowali nam bilet na pociąg do Polski...

Co jeszcze o obozach?

(UWAGA następne strony są jakby uzupełnieniem do poprzedniej opowieści, stąd "rwany" tok, dużo powtórzeń z poprzednich taśm)

Zanim do Neksykańskiego "Domu młodzieńca" przyszła akuszerka, rodzika tam jedna Polka, która była wywieziona z rodziną w 40 roku, nie pamiętam za jakiej miejscowości, z dawnych kresów. Była mała dziewczynką, jak rodzice umarli, czternastoletnią wzięli Rosjanie, siedemnastoletnią wydali za mąż za Rosjanina Morozowa. Pracowała w księgowości, zwalono na nią winę za jakąś malwersację, bo młoda i Polka. Dostała siedem lat, paragraf gospodarczy. Chodziła na Kołymie

bez konwoja, chyba w 47 roku ją przywieźli. Poznała tu Adama Piotrowskiego, który był wolny. Jego dziadek był powstańcem i Adam już w Rosji się urodził. Gdy w 39 roku zajęli tereny wschodnie Polski, czym prędzej chciał się przedostać do Polski, złapali go i sadzili z paragrafu o szpiegostwo. Odsiedział do 47 roku, był już dojrzałym mężczyzną jak ona go poznała. No i powiedział: "Masz mały wyrok, będzie amnestia, ja się na pewno z tobą ożenię" (pracowali w jednym biurze). Zaszła w ciążę i 6 stycznia 51 roku urodziła córeczkę, przyjmowałam poród. Byłam akuszerką, księdzem (bo ją chrzcili z wody) i chrzestną matką tej dziewczynki. Nazywała się Jadwiga Elwira. Nie wiem, czy wróciła, kontaktu więcej z nią nie miałam, przypuszczam, że Adam Piotrowski postarał o powrót do Polski, ale nie wiem.

Po pracy na przyisku ~~Moldiak~~ byłam bardzo chora, do żadnej pracy mnie nie wysyłali jako inwalidkę. Nawet w baraku nie mogłam iść do ubikacji sama, dniewalna prowadziła mnie do kibla w umywalni pod rękę, tam się załatwiałam i ona to wylewała.

W 49 roku nawieźli do Magadanu tych z wysokimi wyrokami - samolotami ich wozili. Nie zdążyli ich zaopatrzyć w żywność i był straszny głód. Transport był unieruchomiony w zimie, nie było tam pociągów, trzeba było samochodami dowozić. Przy niskiej temperaturze 40 stopni opony pękały. Z samolotu zrzucali, dużo żywności uległo uszkodzeniu, a trzeba było i wolnych, i więźniów nakarmić. Było za mało. Wolni nie chcieli chodzić do pracy za 300g pszennego chleba, to chodził pełnomocnik śledczy i mówił: "Nie pójdziecie do pracy to 25 lat wyroku". To kto chciał mieć wyrok drugi? Przyszła wiosna, poprawiła się sytuacja. (...)

Byłam ciężko chora. Pamiętam jak dziś - Boże Narodzenie. Myślałam: tam, w Polsce, ludzie zasiadają razem do stołu, chociaż kawałek chleba mają, a ja już więcej jak miesiąc okruszki chleba nie widziałam... I wtedy wpadła mi myśl do głowy, że przecież mam te

Często-gęsto, gdy przyszło mi wozić taczkami roztwór (betoniarka to robiła, wylewała na taczki, nieraz dużo), myślałam, że to ostatnia moja taczka. Bardzo ciężka praca. Mieliśmy brygadierkę Rosjanę, Marusię (nazwiska nie pamiętam), ona na mnie patrzyła, woziła za mnie kilka taczek, mnie kazała wypoczywać. Była tam też Magdalena Rozwedowska w roli opiekunki pielęgniarce, dawała nam z Dzidką tran. to pomagało trochę na oczy, poprawiało się. Zachorowałam na tę ~~złot-~~ złotaczkę potem. 52 rok był dla mnie najniezwyklejszy, bo i złotaczka i atak serca.

(...) Kiedy wyszłam na wolność od komendanta NKWD, miałam adres przez Zosię Słowikową. Miałam się zgłosić do jednej pani z Wilna, która u pułkownika Gruszy pracowała jako pomoc domowa, nie znam jej nazwiska. (Z Wackiem się jeszcze nie znaliśmy, wiedział, że wyjdę w tym dniu przez Zosię Słowikową). Zosia zaprowadziła mnie tam, dali mi obiad, potem mnie Zosia zaprowadziła do Andrzeja Mackiewicz^a domku. (...relacja jakby urwana)

"Kochana rodaczko, chociaż się nie znamy, jak najbardziej jesteśmy sobie bliscy jako Polacy. Zostawiam klucze i całą spiżarnię do dyspozycji". I była tam i kiełbasa, i chleb. Gościłam jak u siebie w domu. Andrzej to był dusza-człowiek. Wieczorem tam Wacek przyszedł, ktoś go przyprowadził, tam się poznaliśmy. Władek Cygan przyszedł zdaje się z Wackiem. Po dwóch dniach zwolniła się Ada Sciborkówna (takie zdaje się miała nazwisko panieńskie)-Merlak, ja ja przyjechałam. Andrzej wrócił w nocy (miał zapasowe klucze), myśmy na jego łóżku spały obie. Chciałyśmy miejsce właścicielowi zrobić, ale on "nie, nie" - rozłożył sobie kożuch na podłodze.

Dostałam się do pracy do pewnego pułkownika jako pomoc domowa, z tym że w szpitalu pracowałam, a tam tylko pomagałam. Nie miałam nakazu pracy. (...) Pracę tę zdobyłam przez znajomą panią Helene czy Zosię, nie pamiętam, była z Wilna. Pułkownik miał córkę w 10 klasie, przed maturą. Było mi tam dobrze, byli mi życzliwi, pułkownik i jego żona byli grzeczni, córka się do mnie jakoś garnęła.

bardzo dobre serce - one jej naubliżały, ona się uśmiechała. Ja jej broniałam, dzięki mnie musiały ją respektować, mniej jej dokuczwały. Ale była jedna pół Litwinka pół Polka (...) nazywała się Mila Abdankajte. Rozmawiała ze mną po polsku (...) wspólnie przypominałyśmy sobie polski po dwóch latach braku kontaktu z językiem polskim. Te Litwinki zaczęły ją "chepać". "Co chcecie, ja mam więcej krwi polskiej jak litewskiej, a zresztą, czy wam krzywdę jakąś robię? Mam prawo rozmawiać w języku jaki mi się podoba!". Ale ciągle ją sztorcowały za język polski. Tak samo było z Ukrainkami. Jedna Zosia (zdeje się ze Stanisławowa, ~~z Stanisławowa, z Stanisławowa~~ farmakologię studiowała, nie skończyła, wyszła za mąż za Polaka Michalskiego i razem z nami wrócili do Polski) też mówiła po polsku, to Ukrainki do niej z pretensjami. A ona: "Cóż to, wyście do polskiej szkoły nie chodziły, nie chcecie rozmawiać po polsku to nie musicie, ja ujmę ojczyźnie nie przynoszę" (...). Mówiła mi to Mila i Zosia.

Były osoby podejrzane o donosicielstwo, było nawet podejrzenie, że niby ta Cesia Szajowska (obecnie Jackiewiczowa), ale w to nie wierzę. Była brygadierką i mogła różne sprawy (do władz) mieć w sprawach brygady. Fakt jest jednak, że my do niej po polsku a ona do nas po rosyjsku. (...) "Cesiu, zapomniałaś języka polskiego?" - "No wiesz, nie mogę, mogą mnie z brygadzystki zdjąć, na ciężką robotę ja się nie nadaję..." Czyli ją przestrzegali, żeby kontaktów nie miała. Ale nie słyszałam, żeby ona komuś krzywdę zrobiła. Ja ~~mi~~ nie byłam namawiana na współpracę, tylko mąż. Na pewno była namawiana na Stefa Ryżkowa (Ryszkowa?). Siedziała za szpiegostwo, miała 20lat wyroku. A potem nagle lekkie prace w szwalni, mężczyznom wycinali dziury na numerację, mogli wyciąć malutką, a ona Wackowi taką dużą wycięła umyślnie, przez złośliwość. Czyli mogła współpracować... Wiem, że jak tu wróciła (bo jej mąż był Polakiem i synów wychował na Polaków), były głosy, że nie chciał jej przyjąć, bo pewnie wiedział, że ona dla Niemców pracowała. Ale potem to się jakoś ułożyło

dowisko unieszkodliwić. Chodziło o to, żeby w zarodku tępić wszystkie poczynania. Mnie też proponowali, żebym na Ukraińców donosił, bo to moi wrogowie (...), ale nie zgodziłem się. Miałem ponieść surową karę, mieli mnie posłać do obozu specjalnego ("tam skoro po dochniesz"), ale wysłano mnie do specjalnego (...).

W barakach rzadko zdarzały się konflikty narodowościowe, baraki były ~~wyjątkowo~~ narodowościowo byrdzo podzielone...

(przerwa w nagraniu do końca strony A)

Strona B również nagrana nie od początku, poniżej od środka relacji

- Jeżeli chodzi o konflikty narodowościowe, to w obozach spotykałem ich mało, ponieważ Sowieci stosowali głównie zasadę ~~di~~ ~~vide~~ ~~et~~ ~~impera~~, starali się rozdzielać, żeby nie było grup. W brygadach były rozmaite mieszaniny. Wypadków, żeby ktoś specjalnie szykanował jednych czy drugich - nie widziałem. Były pewne małe utarczki, sprzeczki (...). Ja też, jak byłem w obozie w Magadanie miałem scysję z kierownikiem budowy, Andrejewem, Rosjaninem. Był więźniem, inżynierem, w swoim czasie brał udział w budowie dworca w Nowosybirsku, był zgołnym architektem. Miałem z nim scysję, bo on uważał, że Polacy mają nie myśleć, tylko starać się bezwzględnie wykonywać jego polecenia. Więc coś mi powiedział, ja jemu też powiedziałem, a on: "Ty polski pan!" A ja: "Paszoł ty!" (tu na po matuszka Poszedł do brygadiera, żeby ten wziął mnie z roboty. Wziął mnie. Wieczorem po pracy, jak byliśmy w baraku (mieszkał w tym samym baraku), mówi: "Jaworski, pogaworim serio, czemu myśmy się wżóćili? To była drobnostka, a ty wazwałeś mnie po matuszka. Ale ja ci prbaczam!"

Pytanie o poczucie samotności.

- W obozie w Kotłasiu byłem jednym z kilku Polaków i czułem się tam bardzo osamotniony. Staralem się z tymi Polakami w jakiś sposób kontaktować, ale nie za bardzo wywnętrzać się (...). W nocy (pracowałem na maszynie cincinati) przyszedł do mnie naradczyk, szef obo-

zu, który był więźniem. Miał stopień lejtnanta sowieckiego. Odwołał mnie na bok i mówi do mnie tak: "Jaworski, my teraz jesteśmy więźniami, ale i ty i ja jesteśmy oficerami. Chcę być w stosunku do ciebie solidarny i uprzedzam cię, że dostałem polecenie od specczasti (oddziału specjalnego) ażeby śledzić każdy twój krok. W związku z tym ty uważaj, nie bądź z nikim w żadnej przyjaźni, przed nikim się nie wywnętrzaj i radzę ci, abyś z Polakami absolutnie nie przebywał". Ostrzegł mnie. To było na Sylwestra, a pierwszy styczeń był wolny od pracy. A ja zostałem tak sam ze sobą, z własnymi myślami, ponieważ nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Czy pójść do Polaków? I tak przetrwałem ten dzień Nowego Roku bez zetknięcia się z kimkolwiek, tylko z własnymi myślami. Tam mnie to załamało, że nie można nawet swoim dowierzać.

(Pani Kopisto powtarza relację o dwóch latach bez Polek i mówienia do siebie po polsku, żeby nie zapomnieć języka).